

z.511500

WICZ CHMUROWA

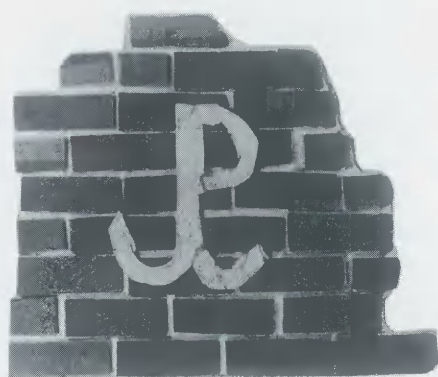
ORLIKI



**HISTORIA
PRUSZKOWSKIEGO
PLUTONU**







60296

Z 511500

Zas-44p-06

ZOFIA ŁOSIEWICZ CHMUROWA

ORLIKI

HISTORIA
PRUSZKOWSKIEGO
PLUTONU

Powiatowa i Miejska Biblioteka Publiczna
im. Henryka Sienkiewicza
w Pruszkowie
2006

Eo 3289/2006

30,00

Copyright © 2006 by Zofia Łosiewicz Chmurowa

Praca niniejsza powstała na podstawie pisemnych relacji żołnierzy plutonu „Orlików”, rekrutujących się w większości z rodowitych pruszkowiaków: Bogusza Donaja, Tadeusza Bobrowskiego, Anny i Ryszarda Kamińskich, Witolda Lipińskiego i Piotra Śliwowskiego.

Konsultanci:

Tadeusz Bobrowski

Mieczysław Groblewski

Piotr Śliwowski

Zdzisław Zaborski

Zdjęcie na okładce: *Eugeniusz Widlicki*

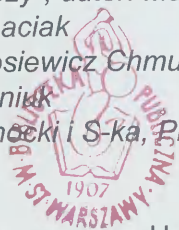
Wyklejka: *rysunek dla „Obroży”; autor: Marek Kononowicz ps. „Radwan”*

Projekt okładki: *Michał Bernaciak*

Redakcja i korekta: *Zofia Łosiewicz Chmurowa*

Skład i łamanie: *Jacek Antoniuk*

Organizacja produkcji: *Rachocki i S-ka, Pruszków*



Publikacja została sfinansowana przez Urząd Miejski w Pruszkowie

Z 511500

ISBN 83-922347-4-X

Wydanie pierwsze

Powiatowa i Miejska Biblioteka Publiczna

im. Henryka Sienkiewicza

ul. Kraszewskiego 13

05-800 Pruszków

tel. (0-22) 758 86 09

tel./fax (0-22) 730 10 80

e-mail: czytelnia@biblioteka.pruszkow.pl

Druk i oprawa: *Łódzkie Zakłady Graficzne*

Wstęp

Pragnę wyrazić wdzięczność koledze Boguszowi Donajowi, który był inicjatorem i kronikarzem działań Orlików. Wyrażam też podziw dla talentu i pracowitości kolegi Gienka Widlickiego, który utrwalił na kliszach fotograficznych życie partyzantów Kampinosu. Dzięki temu niełatwy i chwalebny rozdział życia „Orlików”, zyskał piękną dokumentalną oprawę.

Dziękuję także Tadeuszowi Bobrowskiemu, Zofii Gombin-Borkowskiej, Mieczysławowi Groblewskiemu, Annie Kamińskiej i Piotrowi Śliwowskiemu, którzy z iście anielską cierpliwością, nękanymi moimi telefonami – udzielali mi brakujących informacji, wyjaśnień i rad.

Szczególne podziękowanie należy się również koledze Zdzisławowi Zaborskiemu – przewodniczącemu Komisji Historycznej Okręgu Warszawa Powiat Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej – który poświęcał ofiarnie swój czas na dokładne sprecyzowanie szczegółów historycznych i miejsca plutonu „Orlików” w strukturze VI Rejonu Armii Krajowej.

Dzięki życzliwości wspomnianych osób mogła powstać historia pruszkowskiego plutonu.

Zofia Łosiewicz Chmurowa



Prof. dr hab. IH PAN Marian Marek Drozdowski

Recenzja pracy Zofii Łosiewicz Chmurowej
pt: „Orliki”. Historia pruszkowskiego plutonu.

Dla dziejów Pruszkowa, promowanych przez Pruszkowskie Towarzystwo Kulturalno – Naukowe, i samorząd lokalny recenzowana praca ma istotne znaczenie. Po uzupełnieniach i poprawkach zasługuje ona na pilne wydanie.

Do jej walorów należy między innymi wnikliwe wykorzystania relacji byłych żołnierzy plutonu „Orlików”: Bogusza Donaja, Tadeusza Bobrowskiego, Anny i Ryszarda Kamińskich, Witolda Lipińskiego i Piotra Śliwowskiego.

Wspomniani obok Mieczysława Groblewskiego i Zdzisława Zaborskiego byli konsultantami recenzowanej pracy.

Pokazanie Powstania Warszawskiego poprzez pryzmat indywidualnych losów żołnierzy Armii Krajowej, rekrutujących się w większości z rodowitych pruszkowiaków, będzie wspaniałą lekcją historii Polskiego Państwa Podziemnego dla pokolenia naszych dzieci i wnuków.

Dobrze się stało, że Autorka przypomina miejsca pamięci Zgrupowania Kampinos i wzbogaca swoją pracę aneksem, opartym na wspomnieniach Tadeusza Nowickiego, Zofii Borkowskiej – Gombin, Tadeusza Bobrowskiego, Antoniego i Jana Makowskich oraz Bogusława Pośnika. Bardzo ważną rolę w recepcji recenzowanej pracy odgrywa jej dokumentacja ikonograficzna oraz indeks nazwisk i pseudonimów.

Praca pokazuje aktywność żołnierzy „Orlika”, nie tylko w czasach planu „Burza” i Powstania Warszawskiego ale także ich dramat w czasach totalitarnej władzy komunistów, ich aparatu represji, który zabrał im najpiękniejsze lata, kiedy zakłada się rodzinę i zdobywa wyższe studia, poznaje obce kraje. Liberalizacja przyszła dla nich dopiero po 1956 r. i to nie dla wszystkich.



Prof. zw. dr hab. Paweł Piotr Wieczorkiewicz
Instytut Historyczny UW
Wyższa Szkoła Humanistyczna w Pułtusk

Opinia o pracy Zofii Łosiewicz Chmurowej „Orliki”.
Historia pruszkowskiego plutonu, ss. 128

Recenzowana praca składa się z tekstu zasadniczego, oraz aneksów, indeksów itp. W zamierzeniu Autorki ma zostać ubogacona zdjęciami.

Czy jednak w ogóle jej wydanie ma sens? „Orliki” to oparta na dokumentarnym materiale, przede wszystkim relacjach, historia plutonu Armii Krajowej ppor. „Orlika”, którego żołnierze wywodzili się z Warszawy i okolic, w tym z Pruszkowa. Podobnych pododdziałów były tysiące (przypomnijmy, że AK liczyła w momencie największego rozwoju ponad 300 000 ludzi) i można założyć, że opisywanie drogi każdego z nich prowadzi w istocie do nikąd. W danym wypadku argumentu tego jednak uznać nie można. Na skutek przejść garnizonu warszawskiego AK na obszarze miasta i województwa pozostały spośród niego jednostki. Wobec braku materiałów i politycznej chęci, każda próba choćby tylko usystematyzowania zachowanych archiwaliów była przez lata uniemożliwiana. Przedstawiony materiał ma zatem unikalny i niezwykle wartościowy charakter. Pod względem tematycznym praca zasługuje zatem na wszechstronne poparcie.

Pani Łosiewicz Chmurowa dokonała o wiele więcej, niżli można było się spodziewać: opisała z pewnym talentem literackim, losy wybranego plutonu, które jak w soczewce, opowiadają losy Polaków pod niemieckim jarzmem. Zamiar powiódł się w pełni i otrzymaliśmy pracę interesującą i wciągającą, a i nie przegadaną. Będzie to z pewnością świetna literatura, do wykorzystania, jako pomoc dydaktyczna, nie tylko u Zana i w innych pruszkowskich szkołach.

Znajomość własnej historii jest jednym z istotniejszych czynników narodowo-twórczych, wyznaczających tożsamość danej grupy etnicznej. Śmiałbym twierdzić, że problem ten jest obecnie o wiele poważniejszy niż w PRL, bowiem wtedy nie groziła nam na poważnie rasyfikacja lub sowietyzacja. Teraz europeizacja czy amerykańizacja stały się wyzwaniem nie tylko kulturowym, ale i politycznym. Przybliżenie młodzieży pamięci przeszłości służy dobrze przekonaniu jej, że nie powinna wstydzić się swej polskości – odwrotnie w wielu sytuacjach szansą indywidualną i zbiorową będzie jej eksponowanie. Jest to element tak wyczekiwanej polityki historycznej.

Klio bywa fałszywa i przekorna, ale lubi, by pamiętano o jej bohaterach. Po latach potrafi się o nich bardzo energicznie, czasami brutalnie upominać. Ich pamięć jest zresztą obowiązkiem pokolenia późnych wnuków. Dokumentujemy co się da, bo kolejne generacje nie wybaczą nam nawet minuty opieszałości, zwłaszcza, że czas biegnie nieubłaganie.

Z tych oczywistych względów dobra książka Łosiewicz Chmurowej zasługuje na wydanie, nie bez tego, że w kilku fragmentach podjąłbym z autorką drobne polemiki. Oczywiście gorąco popieram też projekt jej dofinansowania.

Warszawa 2.04.2006

Paweł

I

ŻOŁNIERZE PLUTONU „ORLIKA” VI Rejonu „Helenów” – Pruszków

Lp.	Nazwisko i imię	Stopień wojsk.	Pseudo- nim	Rocznik	Odznac wojsk.	Uwagi
1.	Nowicki Tadeusz	ppor.	„Orlik”	1920	2xKW	d-ca plutonu/ kompanii
2.	Ankowicz Jerzy	st. strz.	„Czyżyk”	1925		
3.	Aulich Zbigniew	kpr.	„Gryf”			
4.	Bardeńska- Przeorska Bogumiła	sanitar.	„Wisła”	1928		
5.	Bobrowski Tadeusz	kpr.	„Witeź”	1924	KW	
6.	Buszyński Stefan	kpr.z cenz.	„Bez”	1920	KW	
7.	Donaj Bogusz	plut.podch.	„Maciej”	1922	KW	d-ca drużyny
8.	Goliszewski Stanisław	strz.	„Zemsta”	1925		
9.	Groblewski Mieczysław	strz.	„Karaś”	1925		
10.	Janicki Eugeniusz	strz.	„Czarny”	1925		
11.	Janiszewski Zdzisław	strz.	„Śmigły”	1925	KW	w partyzantce od maja 1944 r.
12.	Jerzak Józef	strz.	„Sum”	1925		
13.	Kacperski Kazimierz	strz.	„Natan”	1923	KW	w partyzantce od maja 1944 roku
14.	Kamiński Ryszard	kpr.z cenz.	„Włodek”	1923	KW	
15.	Kazikiewicz Czesław	strz.	„Sęp”	1924		zamordowany w lipcu 1944 r. w Zaborowie
16.	Lipiński Witold	st. strz.	„Wilk”	1925		ranny w sierpniu 1944 r. w Chlebowie
17.	Makowski Antoni	kpr.	„Gerwazy”	1923	KW	
18.	Makowski Jan	strz./kpr.	„Orzeł”	1925	KW	
19.	Maliszewski Czesław	kpr.	„Mruk”	1922		wywieziony do Niemiec 15 sierpnia 1944 r.

20.	Porczyński Zbigniew	plut. podchor.	„Józek”	1919	KW	z-ca d-cy drużyny
21.	Radwański Kazimierz	kpr.	„Górski”	1925	KW	
22.	Rejmer Jędrzej	strz.	„Stefania”	1925	KW	
23.	Rejmer Włodzimierz	strz.	„Lolek”	1927		
24.	Stępniewski Józef	strz.	„Czarny”	1926		zamordowany w lipcu 1944 r. w Zaborowie
25.	Styczeń Kazimierz	plut. pchor.	„Smuga”	1920	KW	z-ca dow. plutonu
26.	Szewczyk Ryszard	plut. pchor.	„Stach”	1921		ranny, zmarł 14 sierpnia 1944 r
27.	Szpotowicz Jan	strz.	„Kreś”	1922		
28.	Szulczyński Andrzej	strz.	„Sęp”	1925		
29.	Szymański Roman	strz.	„Głos”	1920		
30.	Śliwowski Piotr	kpr.	„Orkan”	1923	KW	
31.	Widlicki Eugeniusz	strz.	„Leszek”	1920		autor zdjęć z Kampinosu
32.	Wolfram Wojciech	strz.	„Jar”	1921		
33.	Zakrzewski Jerzy	plut. podchor.	„Orsza”			poległ 2 lipca 1944 r. w Ołtarzewie
34.	Zawiślak Stefan	kpr.	„Zacny”	1924	KW	



Odnaka
7. pp AK „Garłuch”



Odnaka Obwodu
VII „Obroża” Okręgu
Warszawa AK



Odnaka Grupy AK
„Kampinos”

ORLIKI

Zbiór fotografii



Tadeusz Nowicki
ppor. „Orlik” dowódca
plutonu



Jerzy Ankowicz
st. strz. „Czyżyk”



Tadeusz Bobrowski
kpr. „Witeź”



Stefan Buszyński
kpr. „Bez”



Bogusz Donaj
plut. pchr. „Maciej”
d-ca drużyny



Stanisław Goliszewski
strz. „Zemsta”



Mieczysław Groblewski
strz. „Karaś”



Eugeniusz Janicki
strz. „Czarny”



Zdzisław Janiszewski
strz. „Śmigły”



Józef Jerzak
strz. „Sum”



Kazimierz Kacperski
strz. „Natan”



Ryszard Kamiński
kpr. „Włodek”



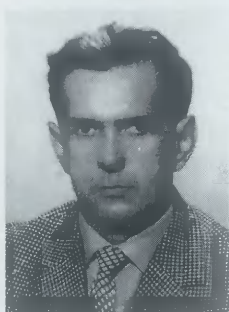
Witold Lipiński
st. strz. „Wilk”



Antoni Makowski
kpr. „Gerwazy”



Jan Makowski
kpr. „Orzeł”



Czesław Maliszewski
kpr. „Mruk”



Zbigniew Porczyński
plut. pchor. „Józek”



Bogumiła Przeorska-
Bareńska sanitariuszka
„Nusia”



Kazimierz Radwański
kpr. „Górski”



Jędrzej Rejmer
kpr. „Stefania”



Kazimierz Styczeń
plut. pchor. „Smuga”
d-ca drużyny



Ryszard Szewczyk
plut. pchor. „Stach”
d-ca drużyny



Andrzej Szulczyński
strz. „Sęp”



Roman Szymański
strz. „Głos”



Piotr Śliwowski
kpr. „Orkan”



Eugeniusz Widlicki
strz. „Leszek”



Wojciech Wolfram
strz. „Jar”



Stefan Zawiślak
kpr. „Zacny”

Mimo starań nie udało się
skompletować pełnego zestawu zdjęć
żołnierzy plutonu „Orlika”

II

A WIĘC – WOJNA!...

Tymi słowy zaczął w dniu 1 września 1939 roku przemówienie radiowe prezydent Warszawy Stefan Starzyński. Burza, której pomruki docierały już od wielu miesięcy, stała się faktem. Nikt jednak nie zdawał sobie sprawy z ogromu nieszczęść, z jakimi przyjdzie się zmierzyć społeczeństwu polskiemu w najbliższych latach.

Jednak cały niemal naród podjął decyzję o konieczności walki w obronie wolności. „Silni, zwarci, gotowi” Polacy, jak rzadko w naszej historii bywało, odrzucili wszelkie różnice polityczne, właśnie ideologiczne i spory. Druga Rzeczpospolita, która powróciła na mapę Europy po stu dwudziestu trzech latach, przez dwudziestolecie swego istnienia wciąż trwająca w euforii z odzyskanej niepodległości, potrafiła wychować pokolenie patriotyczne, tym więcej, że u steru życia społecznego stali ci, którzy wywalczyli Niepodległą. Bronili więc jej wszyscy.

Walczyli ofiarnie, bohatersko, do końca. Musieli jednak ulec przewadze technicznej i liczebnej wrogów. Rozczarowanie, gorycz z poniesionej klęski, zawiedzione nadzieje nie zdołały jednakże na długo złamać woli odwetu.

Mówiono: ulegliśmy, ale nas nie pokonali!

Bohaterami opisywanych wydarzeń są młodzi żołnierze konspiracji z Pruszkowa. W tym mieście kończyli szkoły, tu większość z nich w szeregach harcerskich zdobywała na obozach sprawności harcerskie i przysposobienie do życia obywatelskiego. Natomiast z domów rodzinnych wynieśli umiłowanie Ojczyzny. Świadomi byli swych obowiązków względem Kraju wówczas, gdy wrogi okupant rozpoczął totalną walkę o ducha narodu; stanęli w konspiracyjnych szeregach do walki z wrogiem i podjęli jednocześnie tajną naukę na kompletach gimnazjalnych i licealnych by być gotowym do odbudowy kraju po jego wyzwoleniu.

Pruszków, liczący w chwili wybuchu wojny 27 tysięcy mieszkańców, żył w cieniu Warszawy pod jej wpływem kulturalnym i politycznym. Korzenie tego miasta sięgały dalekiej przeszłości, gdyż odkryto tu ślady osadnictwa sprzed dwu tysięcy lat. Mieszkańcy tych okolic w czasach prehistorycznych trudnili się prymitywnym wytopem żelaza przy pomocy tak zwanych „dymarek”. Zabytki z tego okresu można oglądać w Pruszkowskim Muzeum Hutnictwa Starożytnego. W czasach późniejszych, według istniejących dokumentów historycznych, erygowana została w 1236 roku parafia we wsi Żbikowie, dzisiejszej dzielnicy Pruszkowa.

Budowa Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej w połowie XIX wieku spowodowała szybki rozwój przemysłu w Pruszkowie. Uprzemysłowiona część miasta szybko zdominowała starszy od niej Żbików, który ze swym raczej rolniczym charakterem, stał się dzielnicą Pruszkowa. W mieście powstawały coraz nowe fabryki i zakłady. Pruszków z letniskowej miejscowości dla warszawiaków przeliczył się w ważny ośrodek przemysłowy w zaborze rosyjskim. W 1911 roku w Pruszkowie i Żbikowie było już czynnych 15 zakładów przemysłowych zatrudniających ponad dwa tysiące robotników. W Tworkach od 1891 roku istniał szpital dla psychicznie chorych, największy tego typu zakład w Królestwie Polskim. Równocześnie z uprzemysłowieniem wzrastała liczba mieszkańców, tworząc przed 1914 rokiem największe skupisko ludności w zachodniej części ówczesnego powiatu warszawskiego. W 1916 roku Pruszków otrzymał prawa miejskie.

Było to miasto o przewadze ludności robotniczej, lecz w miarę rozwoju miasta szybko wytworzyła się lokalna inteligencja. Rozwijało się stopniowo życie społeczne i polityczne z wyraźnymi przejawami ruchu niepodległościowego. Od 1905 roku działało już jawnie kilka organizacji społeczno – kulturalnych, wśród nich były: „Macierz Szkolna”, „Stowarzyszenie Robotników Chrześcijańskich”, wśród kolejarzy „Towarzystwo Jedność” i znane ze swego charakteru patriotycznego Gniazdo Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” oraz jak wszędzie Ochotnicza Straż Pożarna. Następował rozkwit życia kulturalnego i społecznego. Istniejące zakłady przemysłowe dbały o rozwijanie na swym terenie kół zainteresowań, powstawały koła

teatralne, zespoły chóralne, orkiestry, ale szczególną popularnością cieszyły się przyzakładowe kluby sportowe. Już w trzy lata po odzyskaniu Niepodległości powstała w Pruszkowie ogólnokształcąca szkoła średnia.

Obok wymienionych organizacji szczególną rolę w patriotycznym wychowaniu młodzieży spełniało harcerstwo. Jego działalność na terenie miasta datuje się od 1911 roku, kiedy powstała tajna drużyna skautowa im. Bartosza Głowackiego. Warto wspomnieć, że już w 1915 roku dokonano wśród skautów aresztowań pod zarzutem przygotowywania zbrojnego powstania. Ruch harcerski rozwinął się zwłaszcza po odzyskaniu niepodległości i od tej pory oddał wielkie zasługi dla wychowania młodego pokolenia*. Drużyny harcerskie działały przy wszystkich pruszkowskich szkołach, łącznie z Gimnazjum im. Tomasza Zana. Służba Bogu i Ojczyźnie zdała pierwszy egzamin w czasie wojny polsko-bolszewickiej w 1920 roku, kiedy to oddziały pruszkowskich harcerzy patrolowały linie kolejowe na wyznaczonych odcinkach.

Pokolenie to dało początek młodzieży, która po klęsce wrześniowej zasilila szeregi żołnierzy konspiracji. Kiedy jeszcze trwała obrona Warszawy w 1939 roku, również w Pruszkowie zaczęły powstawać zawiązki przyszłego Polskiego Państwa Podziemnego – fenomenu w skali światowej podczas drugiej wojny. Między przyjaciółmi, kolegami z wojska i z pracy, z ławy szkolnej i drużyn harcerskich zaczęły się tworzyć „piątki” i grupki ludzi oddanych sprawie walki o wolność Polski.

Z nich powstały liczne organizacje konspiracyjne, które w wyniku akcji scaleniowej doprowadziły do utworzenia niespotykanej nigdzie w świecie podziemnej armii. Jednak nie zawsze zdajemy sobie sprawę jak ważną była również szeroko rozwinięta działalność cywilna, ujęta w strukturę Polskiego Państwa Podziemnego. W jego ramach rozwinęło się tajne nauczanie, sądownictwo, opieka społeczna i tymczasowa administracja. Prócz tego, wobec pozbawienia prawdziwej nie zakłamanej informacji, powstała działalność wydawnicza: kolportaż podziemnej prasy i wydawnictw.

* Dane zaczerpnięto z książki Tadeusza Jarosa „W służbie Bogu i Polsce”, Wyd. Stowarzyszenie Szarych Szeregów, Krag im. Aleksandra Kamińskiego, Pruszków 2004 r.

Oprócz troski o kształcenie młodego pokolenia, które przygotowywało się do przyszłej służby w wyzwolonej ojczyźnie, w konspiracji kultywowano, tak potrzebną każdemu, działalność kulturalną. Polegała ona głównie na organizowaniu koncertów. Odbýwały się one w domach prywatnych, były to koncerty wokalne i pianistyczne, często tylko z płyt gramofonowych. Słuchano między innymi zabronionej przez Niemców muzyki Chopina. Z okazji rocznic i świąt narodowych organizowano w domach prywatnych żywe obrazy i prelekcje o tematyce patriotycznej.

Troszczono się o pamięć poległych za ojczyznę, w rocznice wybuchu wojny jak również w Święto Zmarłych dekorowano mogiły żołnierskie kwiatami, wstęgami o barwach narodowych oraz zapalając na grobach znicze, ale wszystko to czyniono w tajemnicy przed oczyma ludzi niepowołanych – zwłaszcza Niemców.

W czasie okupacji Pruszków i jego okolice, aż po Ursus i Sękocin, znalazły się w granicach VI Rejonu „Helenów”, VII Obwodu „Obroża” Okręgu Warszawskiego Armii Krajowej. VII Obwód obejmował teren przedwojennego powiatu warszawskiego, a dowodził nim mjr/ppłk Kazimierz Krzyżak „Bronisław”, „Kalwin”. Dowódcą VI Rejonu był mjr Edmund Krzywda Rzewuski „Paweł”; dysponował on dobrze zakonspirowanym 24-osobowym sztabem z siedzibą w Pruszkowie. Utworzono struktury oddziałów liniowych odpowiadające przedwojnemu pułkowi, na który składały się trzy bataliony oraz wydzielone plutony specjalistyczne. Ponadto w skład pułku wchodziły Wojskowa Służba Kobiet i Wojskowa Służba Ochrony Powstania. Łączna liczba żołnierzy wynosiła 2645 ludzi.

Teren VI Rejonu obejmował także struktury warszawskiego 7 Pułku Piechoty Legionowej Armii Krajowej o kryptonimie „Madagaskar – Gałuch”, który był podporządkowany również Okręgowi Warszawskiemu AK. Dowódcą pułku od 1942 roku był mjr Stanisław Babiarz „Wysocki”. Siódmy Pułk miał trzy bataliony oraz plutony specjalne. Terenem werbunkowym I batalionu były miejscowości podwarszawskie: Ursus, Piastów, Pruszków i Ożarów wraz z okolicami. Batalion organizował kpt. Michał Murmyło „Żubr”. Od lutego 1940 roku jego dowództwo przejął mjr Mikołaj Sukniewicz „Odynec”, „Kola”. Dowódcą

2 kompanii batalionu, obejmującej swym zasięgiem Piastów i Pruszków, był ppor. Zdzisław Sitkiewicz „Wrzos” z Piastowa. Plutonem pruszkowskim dowodził ppor. Tadeusz Nowicki „Orlik”.

Historia właśnie tego plutonu, jego działalność w konspiracji i podczas walk w Powstaniu jest przedmiotem tego opracowania. Pluton stale się rozwijał.

W styczniu 1943 roku do plutonu „Orlika” przydzieleni zostali po ukończeniu konspiracyjnej Szkoły Podchorążych Rezerwy Piechoty im. Władysława Sikorskiego podchorążowie: Kazimierz Styczeń „Smuga”, a także Jerzy Zakrzewski „Orsza”. W marcu 1943 roku do plutonu przeniesionych zostało ze likwidowanego oddziału por. Tadeusza Fabiana „Brody” w Pruszkowie ośmiu żołnierzy pod dowództwem sekcyjnego st. strz. Tadeusza Bobrowskiego „Witezia”. W połowie roku przybyli następni podchorążowie, którzy właśnie ukończyli podchorążówkę Narodowych Sił Zbrojnych. Byli to: Ryszard Szewczyk „Stach”, Zbigniew Porczyński „Józek” i Bogusz Donaj „Maciej”. W krótkim czasie, dzięki napływowi nowych żołnierzy, pluton osiągnął pełny stan osobowy, pod dowództwem ppor. Tadeusza Nowickiego „Orlika”.

Od maja 1943 roku rozpoczęła się zorganizowana działalność plutonu, która koncentrowała się głównie na szkoleniu wojskowym. Szkolenie w plutonie prowadzili podchorążowie „Smuga” i „Orsza”. Odbywało się ono w mieszkaniach żołnierzy, zaś ćwiczenia terenowe w Lasach Chlebowskich i Sękocińskich odległych o kilka kilometrów od Pruszkowa. Intensyfikacja szkolenia wojskowego wydawała się uzasadniona z uwagi na fakt, że wiadomości z nasłuchu radiowego świadczyły wymownie, iż szczęście, dotąd dopisujące Niemcom, opuściło ich.

Ponieważ wkrótce ppor. „Wrzos” zagrożony aresztowaniem musiał opuścić ten teren, więc dowództwo 2 kompanii powierzono ppor. „Orlikowi”. Przed samym Powstaniem ppor. „Orlik” popadł w konflikt ze swym dowództwem, którego przedmiotem było zabranie zdobytej przez niego broni. Postarał się więc o przeniesienie do VI Rejonu. Razem z nim przeszli jego podwładni mieszkający w Pruszkowie. Tak powstał pluton „Orlika” podporządkowany został bezpośrednio komendantowi VI Rejonu Edmundowi Krzywdzie Rzewuskiemu

„Pawłowi”, gdzie pełnił funkcje Oddziału Specjalnego dla prowadzenia walki dywersyjnej i likwidacji agentów gestapo. Zdawano sobie sprawę z dobrego wyszkolenia tego zespołu żołnierzy. Dodatkowo podporządkowano więc ppor. „Orlikowi” drugi pluton z Parzniewa licząc, że zdoła on pokonać związane z tym plutonem trudności organizacyjne. Jednakże pluton ten nie zjawił się 1 sierpnia 1944 roku w godzinie „W”.

Uczestnicy walki konspiracyjnej, a wśród nich żołnierze plutonu „Orlika”, chłopcy nierzadko szesnastoletni, brali na swoje barki nie lada odpowiedzialność i ciężar. Chociaż teoretycznie w Armii Krajowej dolną granicą wieku było siedemnaście lat, to w praktyce „postarzanie się” o rok lub nawet dwa było rzeczą nagminną. Większość z nich kształciła się dalej na tajnych kompletach. Musieli zatem znajdować czas na odrabianie lekcji. Byli między nimi również pracujący, zwłaszcza ci starsi, bowiem tylko zaświadczenie z pracy mogło chronić od wywozu do Niemiec na przymusowe roboty. Ci ostatni mogli włączyć się w prace konspiracyjną jedynie wieczorami lub w niedziele i rzadkie święta. Najgorszą sytuację mieli ci, którzy i pracowali, i uczęszczali na komplety tajnego nauczania, co było dość częstym zjawiskiem, bo warunki bytowania w wielu rodzinach były bardzo ciężkie i każdy dodatkowy grosz stanowił podreperowanie domowego budżetu. Ale chłopaki trzymali się twardo, choć niektórym na lekcji zdarzała się parominutowa drzemka. Dla pracujących były komplety, które rozpoczynały się po południu, a kończyły na kwadrans przed godziną policyjną, czyli przed ósmą wieczorem.

Pomimo obowiązków wynikających z pracy konspiracyjnej i nauki żołnierze Armii Krajowej zachowali wszelkie cechy właściwe młodości. W wolnych chwilach spotykali się z dziewczynami, z zapalem grali w siatkówkę, a przy grze w karty prowadzili zażarte dysputy o życiu; także od czasu do czasu urządzali potańcówki potajemnie, by nie zwracać uwagi.

III

PO PIERWSZE ZDOBYĆ BROŃ

Już pod koniec 1943 roku terror niemiecki na terenie Generalnej Guberni przybrał na sile. Miało to niewątpliwie związek z klęskami, jakie alianci zadawali kandydatom na władców świata. Nasiliły się łapanki, aresztowania, publiczne egzekucje.

Rok 1944 rozpoczął się więc w przytłaczającej atmosferze grozy, ale i nadziei. Marzenia narodów, pozostających pod okupacją niemiecką, o ostatecznej klęsce najeźdźców, zaczęły przybierać realne kształty. Na froncie wschodnim wojska sowieckie, wspierane przez aliantów dostawami broni i żywności, wypierały Niemców ze swoich terytoriów. Na początku czerwca w Europie Zachodniej powstał drugi front: lądowanie wojsk amerykańsko-angielskich w Normandii; wzmożła się ofensywa powietrzna na Niemcy, a w maju polskie oddziały odniosły brawurowe zwycięstwo pod Monte Cassino. Wszystkie te fakty zapowiadały upragniony upadek III Rzeszy.

Echo sukcesów, jakie odnosili alianci, wywołało szczególnie silny oddźwięk w umysłach Polskiego Podziemia. Wiedzieli oni, że zbliża się czas ostatecznego rozrachunku z okupantami niemieckimi, co oznaczało dla nich moment sprawdzenia się w walce. Aby sprostać temu zadaniu, musieli posiadać broń, a tej w większości zgrupowań armii podziemnej było o wiele za mało.

Na podstawie uzgodnienia ze Sztabem Naczelnego Wodza – gen. Władysława Sikorskiego – nasi zachodni alianci byli obowiązani dostarczyć broń walczącym w szeregach armii podziemnej. Polacy mieli moralne prawo oczekiwać wydatnej pomocy od Zachodu, bo przecież nasi piloci bronili Londynu przed powietrzną inwazją Niemiec. Polacy też jeszcze przed wojną złamali szyfr Enigmy, którym posługiwali się Niemcy, co walcie przyczyniło się do sukcesów Zachodu. Polacy również przekazali aliantom plany i znalezione części

V2, która mogła zmienić bieg wydarzeń drugiej wojny. Oczekiwaliśmy więc pomocy: zrzutów broni, której tak bardzo było brak. Niestety, na próżno.

Nikt w Polsce nie wiedział, że w 1943 roku w Teheranie Anglia, Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki ustaliły już porządek w Europie po zakończeniu wojny. W myśl tych postanowień Europa Środkowa miała zostać podporządkowana Związkowi Sowieckiemu. A nasi alianci, zachowując lojalność wobec Sowietów, pomoc dla Polskiego Podziemia ograniczyli do minimum.

O ile w 1943 roku i w I połowie 1944 roku, zrzuty broni na terytorium Generalnej Guberni wiązały się z poważnymi trudnościami, bo – zważywszy odległość, jaką pokonać musiały samoloty startujące z zachodnich lotnisk – konieczne było uzupełnianie paliwa, co przy odmowie udostępnienia lotnisk sowieckich stanowiło problem, to w miarę przesuwania się frontu zachodniego w kierunku Niemiec, dystans, jaki miały do pokonania samoloty alianckie, malał. Niestety, malała też liczba zrzutów: w sumie zamiast obiecanych 400 wykonano 40.

Znaleźliśmy się w sytuacji, w jakiej historia już nie raz nas stawiała: mogliśmy liczyć jedynie na własne siły. W praktyce oznaczało to uruchomienie własnej produkcji broni lub zdobywanie jej na nieprzyjacielu. Pluton „Orlików” wybrał tę drugą możliwość. Jego żołnierze zaczęli pilnie penetrować o zmierzchu ulice miasta, nie tracąc nadziei, że kiedyś dopisze im szczęście. Pierwsza, uwieńczona powodzeniem, akcja miała miejsce w kwietniu 1944 roku na ulicy Kraszewskiego, która w czasie okupacji znajdowała się w „dzielnicy niemieckiej” i nosiła nazwę „Johann Kappl Strasse”. Idący tamtędy w pobliżu kościoła św. Kazimierza „Orlik”, „Stach”, „Maciej” i „Sęp” zauważyli żołnierza niemieckiego niosącego zawieszony na szyi pistolet maszynowy typu „schmeisser”. Zapadał wieczór, wśród nielicznych przechodniów nie widać było Niemców. W jednej chwili uznali, że nadszedł właściwy moment. „Stach” i „Maciej” podskoczyli do Niemca, napierając nań z obu stron. W tym samym momencie zaskoczony Szkop poczuł między żebrami ucisk lufy pistoletu. Jednocześnie „Orlik” i „Sęp” zabiegli mu drogę, zrywając z szyi pistolet. Zanim Szkop zdołał ochłonąć, cała czwórka „Orlików” rozbiegła się, unosząc ze sobą cenną zdobycz.



Broń używana w konspiracji:

1. pistolet maszynowy „sten” (angielski); 2. pistolet maszynowy „błyskawica” (prod. polskiej); 3. pistolet maszynowy „bergmann” (niemiecki); 4. pistolet maszynowy „thompson” (angielski); 5. pistolet VIS (polski); 6. pistolet „walther” p.38 (niemiecki); 7. rewolwer „lebel”; 8. pistolet „colt browning” 1918 (amerykański); 9. pistolet „parabellum” 0,8 (niemiecki); 10. pistolet „walther” PPK (niemiecki)
- Źródło: St. Kopff, St. Starba Bałuk „Armia Krajowa, Kron. fotogr.”, Warszawa 1999

Następna okazja do zasilenia arsenału „Orlików” nadarzyła się na gliniankach pruszkowskich, spełniających w czasie letnich upałów rolę odkrytego basenu kąpielowego, tłumnie odwiedzanego przez mieszkańców miasta, a zwłaszcza młodsze pokolenie. W upalny, czerwcowy dzień nad gliniankami znaleźli się „Orsza”, „Czarny”, „Natan” i „Śmigły”. Wśród miejscowej publiczności byli też dwaj podoficerowie niemieccy, zażywający kąpiele w nurtach glinianek. „Tymczasowi” (jak się wtedy nazywało Niemców), musieli oprócz ochłody doznać nie lada szoku, gdy okazało się, że zniknęły pozostawione przez nich na brzegu nie tylko pistolety, ale także ich mundury. One również wzbogaciły stan posiadania „Orlików”.

Takie akcje przynosiły jednak efekt niewspółmiernie mały w stosunku do ryzyka. Postanowiono zatem działać bardziej radykalnie, zdobywając fundusz na zakup broni. Stosowną sumę pieniędzy spodziewano się uzyskać ze sprzedaży towarów „zarekwirowanych” w sklepie „Elwoka”, gdzie Niemcy składowali tekstylia dla chłopów wywiązujących się z tzw. kontyngentów, czyli obowiązkowych dostaw żywności dla okupantów. W akcji, którą dowodził „Orlik”, wzięło udział jego dziesięciu podkomendnych z plutonu. Zabrali sporą ilość towarów, które zapakowane w worki zostały przez „Bza” i „Witezia” dowieszone jednokonnym wozem do stacji EKD w Komorowie. Tam załadowano je do wagonu towarowego kolejki jadącej do Warszawy. Miał je tam odebrać pośrednik w obecności podchorążego „Smugi”, zastępcy „Orlika”. Minęło kilka tygodni. Zniecierpliwiony „Orlik” w towarzystwie podchorążych „Smugi” i „Witezia” z bronią w kieszeni wyruszył do mieszkania pośrednika, który za pieniądze uzyskane ze sprzedaży towarów miał dokonać u Niemców zakupu broni dla plutonu. W domu zastali jedynie żonę pośrednika, która dowiedziawszy się, po co przyszli, zaczęła histerycznie krzyczeć. Mogłoby to zwrócić uwagę sąsiadów, musieli się więc wycofać, nie uzyskawszy jakichkolwiek informacji. Rozwiązanie całej afery i ustalenie winnych tej niewątpliwiej malwersacji, udaremnił „Orlikom” wybuch powstania w Warszawie.

W czerwcu 1944 roku na terenie Pruszkowa nasiliły się aresztowania, szczególnie w Warsztatach Kolejowych, gdzie zatrudnieni byli między innymi żołnierze plutonu „Orlika”: podchorąży „Orsza”

oraz „Sęp”, „Śmigły”, „Czarny” i „Natan”. Wobec zagrożenia aresztowaniem swoich podkomendnych ich dowódca zdecydował, by „spaleni” żołnierze przeszli do okolicznych lasów pruszkowskich i do Puszczy Kampinoskiej. Rozpoczynający życie partyzanckie zostali zaopatrzeni w broń i pieniądze.

Grupa podchorążego „Orszy”, mimo zmiany miejsca pobytu, wciąż miała na sercu sprawę dozbrojenia macierzystego plutonu. W tym celu nawiązała kontakt z oddziałem partyzanckim z Puszczy Kampinoskiej. Oddział ten 1 lipca 1944 roku zgodził się odstąpić część swego uzbrojenia „Orlikom”. Były to jednak miłe złego początki. Podczas pobierania broni grupa „Orlików” została ostrzelana przez patrol żandarmerii. Jeden z pocisków ranił w nogę podchorążego „Orszę”. Rana okazała się, na szczęście, niegroźna i następnego dnia, to jest 2 lipca, broń uzyskaną od partyzantów załadowano na podwoz, która ruszyła w kierunku Pruszkowa. Początek drogi minął spokojnie. Nic nie zapowiadało czyhającego niebezpieczeństwa. Bez przeszkód dojechali w pobliże cmentarza żołnierzy poległych w 1939 roku w bitwie pod Ołtarzewem, położonym między Borzęcinem a Pruszkowem, kiedy nagle na drodze pojawił się samochód pełen żandarmów. Czyżby ktoś powiadomił Niemców? A więc i patrol, który ich ostrzelał w puszczy, nie był przypadkowy.

Szanse „Orlików” były właściwie żadne; na pięciu uczestników tej wyprawy dwaj mieli po jednym pistolecie z niepełnymi magazynkami amunicji. Pistolet maszynowy, który mógłby powstrzymać Niemców miał jedynie „Orsza”, dowodzący tą akcją. Oceniał też właściwie sytuację: rozkazał czterem kolegom wycofać się w rozsypce, zaś sam wziął na siebie ogień żandarmów. Bronił odwrotu kolegów do ostatniego naboju. Nim padł, zdołał jeszcze wyrzucić dokumenty. Widziała to żona właściciela pobliskiego gospodarstwa. Chwilę później do jej zagrody wbiegli żandarmi, rozkazując pochować poległego „Orszę” w polu przy szosie.

Po odjeździe Niemców gospodarze odnaleźli porzucone papiery. Z nich dowiedzieli się adresu. Powiadomili rodzinę o tragedii, której byli świadkami i przekazali jej ocalałe dokumenty. Po kilku dniach rodzina przeniosła zwłoki „Orszy” na pobliski cmentarz wojskowy.

Dopiero po wojnie podchorąży „Orsza” znalazł miejsce stałego spoczynku na żbikowskim cmentarzu parafialnym.

Pluton „Orlików” poniósł dotkliwą stratę: śmierć wzorowego żołnierza i kolegi – podchorążego Jerzego Zakrzewskiego „Orszy”, utratę broni, której zdobycie było celem tego dramatycznie zakończonego przedsięwzięcia oraz przymusowe rozstanie z ocalałymi czterema uczestnikami akcji. Dwaj z nich, „Natan” i „Śmigły”, skorzystali z kontaktu podchorążego „Stacha” z partyzantką na Kielecczyźnie, udali się w Góry Świętokrzyskie. Walczyli tam do 15 stycznia 1945 r. w oddziale porucznika „Nurta”. *

Pozostali dwaj, „Czarny” i „Sęp”, po akcji pod Ołtarzewem wrócili do Puszczy Kampinoskiej, ale nadal utrzymywali kontakt z Pruszkowem, brali też udział w ćwiczeniach plutonu w Lasach Chlebowskich. Złe fatum wciąż nad nimi wisiało; gdy po raz kolejny wracali do Puszczy w towarzystwie nieznanego partyzanta, zostali ujęci przez niemiecką policję – schupo, stacjonującą w Zaborowie. Jednostka ta słynęła ze szczególnego okrucieństwa stosowanego wobec przesłuchiowanych więźniów. „Czarny” i „Sęp” zostali poddani bestialskiemu śledztwu. Nie widząc dla siebie ratunku, zdecydowali się na ucieczkę, podczas której zostali zastrzeleni. O ich losie powiadomił organizację granatowy policjant, powszechnie zwany „Leonkiem”. Był on zatrudniony na posterunku żandarmerii niemieckiej w Pruszkowie, współpracując jednocześnie z kontrwywiadem Armii Krajowej. Informacje, mogące zainteresować polskie podziemie, przekazywał za pośrednictwem pana Lenartowicza, właściciela sklepu przy ulicy Kraszewskiego. Dzięki niemu dowiedziano się, że żandarmi z Zaborowa zdołali uzyskać od torturowanych więźniów pseudonim dowódcy plutonu – „Orlika” oraz, co było o wiele groźniejsze, imię nazwisko, adres i miejsce pracy podchorążego „Macieja”.

W tej sytuacji „Maciej” musiał natychmiast opuścić Pruszków, tym bardziej, że na terenie miasta i okolic wzmożyły się aresztowania i akty terroru ze strony Niemców.

* Porucznik Eugeniusz Kaszyński „Nurt” – „cichociemny” zrzucony w nocy z 1 na 2 października 1942 roku, był dowódcą oddziału w I batalionie 2 pułku piechoty im. Legionów dywizji Korpusu Kieleckiego Armii Krajowej. „Cichociemnymi” nazywano polskich oficerów szkolonych w Anglii, którzy nocą byli zrzucający na spadochronach na terytorium okupowanej Polski.



Pruszków – Ostoja 29 sierpnia 1943 r. Odpoczynek po ćwiczeniach w terenie; od lewej: „Orsza” Jerzy Zakrzewski, „Orlik” Tadeusz Nowicki, „Smuga” Kazimierz Styczeń i „Wacek” NN

Uwagę mieszkańców pobliskich miejscowości zwracał jeden z bahnschutzów, który wyróżniał się szczególnym okrucieństwem wobec Polaków. Jak na ironię, odznaczał się nieprzeciętną urodą gotyckiego anioła, przez co zyskał przydomek „Panienka”. Pełnił on służbę na dworcu Warszawa Zachodnia, gdzie zyskał ponurą sławę, dokonując kilku zabójstw. Sąd Polski Podziemnej skazał go na śmierć. Z nieustalonych przyczyn wykonanie wyroku powierzono plutonowi „Orlika”. Zwyczajowo wyroki sądowe wykonywał Kedyw.

Ustalono, że „Panienka” codziennie około czwartej po południu wraca na swoją kwaterę we Włochach, idąc pieszo wzdłuż torów z Warszawy Zachodniej. Przez trzy dni z rzędu pluton wyjeżdżał do Włoch, obstawiając teren w bezpośrednim sąsiedztwie stacji PKP, to bowiem miejsce zostało wybrane dla przeprowadzenia akcji. Jednak w ciągu dwóch dni „Panienka” się nie pojawił. Sytuacja stawała się niebezpieczna, gdyż stała obecność tych samych ludzi w tym samym

miejscu, o jednej porze, mogłaby zwrócić uwagę kogoś niepowołanego. Dopiero trzeciego dnia oczekiwany bahnschutz pojawił się wreszcie w towarzystwie jakiegoś cywila. Chłopcy mocniej przycisnęli ukrytą pod płaszczami broń. I już wydawało się, że nadszedł czas sądu dla „Panienki” i chwila próby bojowej dla nich samych, gdy na drodze równoległej do toru kolejowego pojawiła się kolumna żołnierzy niemieckich, maszerujących w takt znanej do obrzydzenia melodii „Haili-haila”. Niemal w tym samym momencie na ulicy prostopadłej do torów pojawiły się samochody i motocykle. I jakby tego było mało, na drogę po przeciwnej stronie toru wtoczyła się ciężarówka pełna żandarmów. W pierwszym momencie, niedoszli wykonawcy wyroku pomyśleli, że to obława na nich. Następne sekundy przekonały ich jednak, że to, na szczęście, tylko zbieg okoliczności. W tej sytuacji o przeprowadzeniu akcji nie mogło być mowy. „Orlik” odwołał więc wykonanie zadania. Stało się to w momencie, gdy na stacji zatrzymał się właśnie pociąg jadący w kierunku Żyrardowa. Skorzystali z tego dwaj uczestnicy akcji; wbiegli na peron i w ostatniej chwili wskoczyli do wagonu. W tym momencie pociąg odjechał.

Na pomoście, podobnie zresztą jak i wewnątrz wagonu, pannał ogromny ścisk. Pasażerowie byli ściśnięci jak przysłowiowe sardynki w puszce. „Witeź” – jeden z uczestników nieudanej akcji – ochłonawszy nieco po przeżyciach ostatnich minut, spostrzegł, że jest całym sobą przyciśnięty do jednego z dwóch niemieckich kolejarzy stojących w pewnej odległości od siebie. Na twarzy Niemca malowało się przerażenie. Kolejarz musiał wyczuć pod płaszczem „Witezia” twardy przedmiot. Jego kształt nie pozostawiał wątpliwości. Wystraszony Szkop zaczął się rozpaczliwie przeciskać w kierunku kolegi. Na jego miejsce wcisnął się Polak, sądząc po ubraniu, robotnik, który spojrzał wymownie na „Witezia” i spokojnie powiedział:

– Panie, krawat panu wylazł.

Zagadnięty spojrzał po sobie: z rozchylenia płaszcza pod brodą wystawała kolba „stena”. Sytuacja była jak z koszmarnego snu. Szczęściem w tym momencie pociąg zatrzymał się w Ursusie. Depozytariusz „stena” w rekordowym czasie przesiadł się do innego wagonu, co bez wątpienia uchroniło go przed konsekwencjami, jakie mogły go spotkać, gdyby niemieccy kolejarze zaalarmowali żandarmerię.

Nie był to jedyny związany z koleją okupacyjny incydent z udziałem „Witezia”. Innym razem rzecz działa się w kolejce EKD. Otóż w domu podchorążego Janusza Świerczewskiego „Rawicza” przez jakiś czas przechowywano Anglika, jeńca, który uciekł z niemieckiej niewoli. Kiedy zaszła konieczność przewiezienia go do Warszawy, misję tę powierzono „Witeziowi”, który przez dwa lata uczył się angielskiego. Przed wyprawą surowo przykazano Anglikowi (miał na imię Samuel), żeby podczas podróży nawet słowem się nie odzywał. Najlepiej niech udaje niemowę.

Tak więc Samuel i „Witeż” udali się na stację EKD. Padał wtedy solidny deszcz, więc obaj stanęli pod daszkiem na peronie. Tłoczyło się tam już wielu pasażerów oczekujących na pociąg do stolicy. Daszek jednak był kiepski i przeciekał. Po jakimś czasie Samuel patrząc na krople kapiące tuż przed jego nosem, ufną, że doskonale opanował język polski, zauważył:

– Zła podloga – z czystym angielskim akcentem, nie pozostawiającym wątpliwości z czyich ust padło to nader bystre spostrzeżenie. „Witezia” oblał zimny pot. Sytuację uratowała... kolejka, która w tejże chwili wtoczyła się na peron. Wsiedli i bez przeszkód dojechali na miejsce. Trzeba jednak podziwiać hart ducha i przytomność oczekujących pod daszkiem ludzi, którzy słysząc lingwistyczny popis Anglika, nawet nie drgnęli, choć powiało grozą.

Na „Panience” zaś wyrok został wykonany. Zrobił to już jednak inny oddział.

Pluton wrócił do normalnej działalności, przede wszystkim do szkolenia w dziedzinie żołnierskiego rzemiosła.

A oto jak „Witeż” wspomina szkolenie wojskowe:

„W oddziale zostaliśmy podzieleni na sekcje trzyosobowe. Zostałem sekcyjnym. Szkolenia prowadził sierżant Henryk Krajewski »Ryś«. Zwykle brały w nim udział dwie, trzy sekcje. Polegało ono na zapoznawaniu się z podstawowymi zasadami pracy konspiracyjnej, organizacją wojska, regulaminem służby wewnętrznej, podstawowymi rodzajami sprzętu i broni, jakie miała na swoim wyposażeniu piechota, korzystania z mapy i orientacji w terenie, zasadami prowadzenia walki w warunkach polowych, zasadami łączności oraz innymi tajnikami wiedzy i sztuki wojennej, zawartymi w różnych książkach



Broń ze zrzutów:

1. angielski granatnik przeciwpancerny „piat”; 1a. pocisk do „piata”; 2. ręczny karabin maszynowy 7,69 mm „bren” Mk1; 3. rewolwer 9 mm „enfield” wz.38

wojskowych, które nam wypożyczano i które porykaliśmy tak, jak teraz czyta się kryminały. Żadna literatura nie była wówczas tak interesująca jak ta, zawarta we wnikliwie studiowanych książkach.

Na zbiórkach przestrzegano regulaminu wojskowego; odbywały się one raz, maksimum dwa razy w tygodniu w różnych mieszkaniach, między innymi w moim. Podczas ćwiczeń w terenie korzystaliśmy z mapy i busoli. Raz, na ćwiczeniach prowadzonych w rejonie Malichy – Reguły, wizytował nas »Administrator«. Na zbiórki przynoszono broń, którą uczono się posługiwać. Były to przeważnie pistolety vis, »parabellum« i karabiny. Ćwiczyliśmy też walkę na bagnety. Z pozostałą bronią, będącą w użyciu piechoty zapoznawano nas prezentując ją na rysunkach.

W marcu 1943 roku oddział nasz (oddział »Brody«) został wcielony do plutonu dowodzonego przez ppor. Tadeusza Nowickiego »Orlika«. Szkolenie sekcji przejął wówczas podchorąży Kazimierz Styczeń »Smuga«. Pogłębiało ono naszą wiedzę wojskową.

Pod koniec marca 1943 roku Stefan Buszyński »Bez«, Antoni Makowski »Gerwazy«, Czesław Maliszewski »Mruk« i ja zostaliśmy skierowani na kurs podoficerski, który prowadził sierżant Wacław Kuchta »Borek«. Zostaliśmy zapoznani z podstawami dowodzenia drużyną i plutonem oraz podstawami taktyki na szczeblu drużyny i plutonu. Podstawą było szkolenie w zakresie dowodzenia drużyną. W arkana wiedzy o dowodzeniu plutonem byliśmy wprowadzani o tyle, o ile dotyczyło to zrozumienia otrzymywanych rozkazów oraz współpracy z innymi drużynami, ewentualnie innymi rodzajami broni będącymi w dyspozycji plutonu, kompanii, batalionu i pułku. Szkolenie to odnosiło się do stanu wojska, jaki istniał przed 1939 rokiem, natomiast w nikłym stopniu uwzględniało stan organizacji i uzbrojenia Wehrmachtu i zasad, jakie w przypadku powstania powinniśmy stosować w walce z tak dobrze uzbrojonym przeciwnikiem. W moim odczuciu było ono jednak oderwane od realiów okupacyjnych, co uwidoczniło się wyraźnie podczas mojego późniejszego udziału w walkach z Niemcami. Metody walki w warunkach okupacji trzeba było wypracować samemu, czego zresztą nie robiliśmy, bo wobec szczupłości oddziału, żaden z kaprali, który ukończył kurs, nie dowodził drużyną. W naszych warunkach oddziałem, liczącym



Niemiecki pistolet maszynowy MP40 „schmeisser”



Angielski granat przeciwpancerny ze zrzutów, tzw. „gammon”

około dwudziestu osób, dowodził porucznik a drużynami podchorążowie.

Kurs podoficerski trwał do maja 1944 roku. Egzamin odbywał się w mieszkaniu »Mruka«. Egzaminował nas pułkownik, który specjalnie w tym celu przyjechał z Warszawy. Egzamin wypadł pomyślnie i zostaliśmy kapralami. Po odprowadzeniu pułkownika na stację i odjeździe pociągu sierżant »Borek« uściśnął nam prawicę, a na jego twarzy malowała się wyraźna ulga. O ile mnie pamięć nie myli, wtedy powiedział nam, że był to pułkownik »Monter«*. Wówczas jednak ten pseudonim nic nam nie mówił.

Niezależnie od szkolenia na kursie podoficerskim nadal braliśmy udział w szkoleniu prowadzonym w sekcjach. Ćwiczenia terenowe odbywały się w Lasach Komorowskich. Zabierano na nie broń: kilka pistoletów 7 mm i 7,5 mm, nadto dwa pistolety maszynowe typu »sten« i odebrany Niemcom pm. »schmeisser«. Broń, którą posiadaliśmy pochodziła z rekwizycji Niemcom.”

* Antoni Chruściel „Monter”, późniejszy generał brygady. Od 1918 roku służył w Wojsku Polskim. Ukończył Wydział Prawa na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, następnie Wyższą Szkołę Wojskową. Kierownik Centrum Wyszkożenia Piechoty w Rembertowie. W Kampanii Wrześniowej dowódca 82 pułku piechoty Strzelców Syberyjskich 30 DP. W czasie okupacji niemieckiej członek SZP-ZWZ-AK. W Powstaniu Warszawskim dowódca wszystkich walczących sił. Po kapitulacji Powstania obóz jeniecki w Langwasse, potem w Colditz. Wyzwolony w 1945 r. przez Amerykanów. Zamieszkał w Londynie. Piastował stanowisko drugiego zastępcy Szefa Sztabu Głównego Polskich Sił Zbrojnych. Od 1956 r. przebywał w Waszyngtonie. Tam też zmarł 20 listopada 1960 r. Był odznaczony Krzyżem Virtuti Militari V, IV i II klasy oraz trzykrotnie Krzyżem Walecznych.

IV

WYBIŁA GODZINA „W”

Pod koniec lipca 1944 roku front wschodni wszedł już głęboko w ziemię polskie i coraz bardziej zbliżał się do Wisły. W niemieckich urzędach na terenie Warszawy i innych miast powiatu warszawskiego panowała gorączkowa krzątanina. Pakowano akta i łupy wojenne zrabowane w Generalnej Guberni, szykując się do ewakuacji na zachód. Przez ulice, szosy i drogi ciągnęły kawalkady samochodów i zwykłych konnych furmanek załadowanych walizami i tobołami. Maszerowały kolumny zmęczonych, zrezygnowanych żołnierzy niemieckich w brudnych, wymiętych mundurach; nieogoleni, często bez broni, jakże różnili się wyglądem od tych, którzy wkraczali tu jako butni zdobywcy. Widok ten dla Polaków był źródłem niepohamowanej radości: „Nareszcie dranie mają za swoje!” – zdawały się mówić roześmiane oczy gawiedzi śledzącej z satysfakcją marsz pokonanych wrogów. Głuchy odgłos kanonady artyleryjskiej z prawego brzegu Wisły brzmiał w ich uszach jak żałobny dzwon na pogrzebie III Rzeszy.

Jednakże po kilku dniach sytuacja uległa zmianie: urzędy wznowiły działalność. W dniach 24 – 25 lipca administracyjne władze niemieckie ewakuowały się z Pruszkowa, by po dwóch dniach wznowić urzędowanie. Nieprzerwanie natomiast trwała wywózka wyposażenia Fabryki Mechaników i Warsztatów Kolejowych.

Wieczorem 27 lipca do parku „Sokoła” w Pruszkowie zajęła pokaźna liczba czołgów, samochodów pancernych i innych pojazdów wojskowych. Były to oddziały dywizji spadochronowo-pancernej SS „Hermann Göring”, które zatrzymały się tu na postój w drodze na front wschodni. Wszystkie budynki szkolne zostały zajęte na kwatery dla wojska. Place, skwery, parki i niektóre ulice zostały zamienione w parkingi dla przybyłych pojazdów. Ulice Pruszkowa zaroily się od „łazików” i motocykli, a także pieszych patroli niemieckich. Mieszkańcy domów położonych w pobliżu parkujących samochodów pancernych zauważyli z okien swych mieszkań, że wewnątrz

nich znajdują się małe pojazdy na gąsienicach, dotąd niespotykane i o niewiadomym zastosowaniu. Dopiero w czasie Powstania ujawniła się ich niszczycielska moc. Były to bowiem siejące zniszczenie „goliaty” – samobieżne miny zdalnie sterowane.

W dniu 28 lipca komendant VI Rejonu Armii Krajowej, Edmund Krzywda Rzewuski „Paweł”, ogłosił ostre pogotowie bojowe, które następnego dnia zostało odwołane. Mimo jednak odwołania, niektóre oddziały trwały nadal w pogotowiu. Miasto żyło na pozór zwykłym rytmem, ale wyczuwało się napięcie, wszystkie umysły drążył niepokój, co przyniosą najbliższe dni, może godziny. Atmosferę tę potęgowały jednostki dywizji „Hermann Göring”. Ich obecność w dużym stopniu paraliżowała działalność służb VI Rejonu AK. Utrudniona była łączność, komunikacja, a co gorsza w wielu przypadkach niemożliwe stało się dotarcie do magazynów broni, amunicji i wyposażenia wojskowego.

1 sierpnia 1944 r. dopiero o godzinie 15.00 dotarł do komendanta VI Rejonu „Helenów” (kryptonim Pruszkowa) rozkaz rozpoczęcia walki. Tak późne dostarczenie rozkazu uniemożliwiło podjęcie działań bojowych w godzinie „W”, to jest o 17.00, tym bardziej, że rejon obejmował rozległy teren, a łączność wewnętrzną utrudniała obecność na ulicach wojsk niemieckich. Z tych względów major Krzywda Rzewuski „Paweł” wyznaczył rozpoczęcie akcji dla VI Rejonu na godzinę 21.00.

Pluton „Orlików”, wraz z przydzielonym do niego oddziałem z Parzniewa, otrzymał rozkaz przybycia na koncentrację w dniu 1 sierpnia o godzinie 20.00 nad staw „Capri”. Była to glinianka położona za szpitalem „Wrzesin” w kierunku Pęcic. Brzegi tego stawu porastały wysokie krzewy wierzb i olszyn, mogące stanowić osłonę nawet dla kilkudziesięciu żołnierzy, ale otaczały go puste pola.

W czasie, gdy po Pruszkowie i okolicznych miejscowościach kursowali łącznicy roznoszący rozkazy o godzinie „W”, na stację EKD wjechała o godzinie 17.23 kolejka z Warszawy, która wpisała się na stałe do historii; jej pasażerowie przywieźli wiadomość, która błyskawicznie obiegła miasto: w Warszawie zaczęło się Powstanie!

W Pruszkowie jedyną instytucją, która 1 sierpnia, jako pierwsza, знаła termin ogłoszenia godziny „W”, była miejscowa elektrownia.

W niej bowiem, zgodnie z decyzją władz Polski Podziemnej, powołano w roku 1941 jednostkę Służby Wojskowej Ochrony Powstania Armii Krajowej. Zadanie to powierzono ppor. Stanisławowi Kwiatkowskiemu „Zabłockiemu”. Zwerbował on 45 żołnierzy i utworzył oddział w sile plutonu, któremu nadano kryptonim „Nenufar”. Pierwszego sierpnia 1944 roku zaufani pracownicy elektrowni pruszkowskiej dowiedzieli się już koło południa od swych kolegów z elektrowni warszawskiej o wyznaczeniu godziny „W” na 17.00. Rozmowę prowadzono telefonicznie, korzystając z nieznanego Niemcom podziemnego kabla, łączącego od czasów przedwojennych obie elektrownie.

Akcję zdobywania elektrowni* w Pruszkowie rozpoczęto o godzinie 19.00. Załoga niemiecka przebywająca w wartowni była całkowicie zaskoczona atakiem. Po krótkiej walce dwóch Niemców poległo, kilku zostało rannych, pięciu wzięto do niewoli. Niestety, dwóm udało się zbiec. Po stronie polskiej tylko kilku żołnierzy odniosło lekkie rany. Elektrownia znalazła się w rękach powstańców, lecz tylko na jedną noc.



Staw „Capri” w Pruszkowie – miejsce koncentracji „Orlików”, widok obecny, fot. Z. Zaborski

* Szczegółowy opis zdobywania elektrowni zamieszczony został w numerze 2/3 Zeszytów Historycznych, *Na przedpolu Warszawy*, wydawanych przez Okręg Warszawa – Powiat Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej.

Drugiego sierpnia Niemcy, pod osłoną wozu pancernego, przypuścili ostry atak, odbijając elektrownię.

Mimo to pluton „Nenufara” i jego dowódca uniknęli represji, zeznali bowiem, a potwierdził to także dyrektor pruszkowskiej elektrowni Wolff, że atak na ten zakład energetyczny nastąpił z zewnątrz. Niemiec, któremu udało się zbiec, rozpoznał jednego z uczestników akcji. Wskazał kierownika biura Konrada Kurca. Po okrutnym przesłuchaniu przez gestapo, został on rozstrzelany 3 sierpnia na rampie kolejowej.

Cofnijmy się jednak w czasie do 1 sierpnia, kiedy pluton „Nenufar” po brawurowym opanowaniu elektrowni, daremnie czekał na posiłki z zewnątrz.

Jedynym oddziałem w okolicy, na który mogli liczyć pracujący w elektrowni Akowcy, był pluton „Orlików”. Zgodnie z rozkazem komendanta „Pawła”, jego żołnierze zgromadzili się o godzinie 20.00 nad stawem „Capri” w dzielnicy Ostoja. Było ich około trzydziestu: dowódca plutonu ppor. „Orlik” (Tadeusz Nowicki), pchor. „Józek” (Zbigniew Porczyński), pchor. „Maciej” (Bogusz Donaj), pchor. „Smuga” (Kazimierz Styczeń), pchor. „Stach” (Ryszard Szewczyk), pchor. „Włodek” (Ryszard Kamiński), kpr. „Bez” (Stefan Buszyński), kpr. „Gerwazy” (Antoni Makowski), kpr. „Gryf” (Jerzy Aulich), kpr. „Mruk” (Czesław Maliszewski), kpr. „Witeź” (Tadeusz Bobrowski), strz. „Czar-ny” (Eugeniusz Janicki), strz. „Czyżyk” (Jerzy Ankowicz), strz. „Głos” (Roman Szymański), strz. „Jar” (Wojciech Wolfram Jaroszyński), strz. „Karaś” (Mieczysław Groblewski), strz. Orzeł (Jan Makowski), strz. „Sęp” (Andrzej Szulczyński), strz. „Sum” (Józef Jerzak), strz. „Wilk” (Witold Lipiński), strz. „Zacny” (Stefan Zawiślak), strz. „Zemsta” (Stanisław Goliszewski), strz. „Chmura” (NN), strz. „Jacek” (NN), strz. „Jula” (NN), strz. „Pirat” (NN), strz. „Ryś” (NN), strz. „Sierp” (NN). Oprócz wymienionych dołączyło jeszcze siedmiu innych, nieznanych z pseudonimów, którzy wyrazili chęć udziału w walce z Niemcami. Byli to żołnierze z innych pruszkowskich jednostek AK, których oddziały nie stawiały się na wyznaczonych miejscach. Na koncentrację nie stawiał się również oddział z Parzniewa.

W sumie stan liczebny plutonu powiększył się, nie przybyło natomiast broni, której ilość była znikoma: jeden karabin, jeden sten,

sześć krótkich pistoletów różnego typu oraz niewielki zapas amunicji. Pluton dysponował ponadto dwudziestoma granatami, w tym tzw. „sidolkami” i granatami obronnymi. Właśnie ze względu na niedostatki uzbrojenia, nie posiadający broni żołnierze z innych jednostek, którzy dołączyli do „Orlików”, po kilku dniach zostali odesłani do domów i do konspiracji.

Przeciwwagą niedostatecznego uzbrojenia stanowiła wola walki, chęć odwetu za lata upokorzeń i młodzieńczy optymizm, że broń zdobędą wkrótce na nieprzyjacielu. Odżyło wspomnienie tragicznie zakończonego transportu broni otrzymanej z Kampinosu, co szczególnie opisano w rozdziale III niniejszych wspomnień.

W dzielnicy Ostoja wyznaczono punkt koncentracji całego sztabu, a także Plutonu Łączności Alarmowej, w skład którego wchodził: porucznik Olgierd Bujwid „Ulewa”, Piotr Śliwowski „Orkan” i Zdzisław Zaborski „Błyskawica”. W dniu 3 sierpnia, kiedy odsyłano żołnierzy nie posiadających broni, por. „Ulewa” dołączył do komendanta „Pawła”. Łącznik „Błyskawica” został wysłany do Ursusa z rozkazem powstrzymania tamtejszych żołnierzy Armii Krajowej od wyruszenia do lasów. Łącznik „Orkan” wszedł, na własną prośbę, w skład plutonu „Orlików”.

Po zorganizowaniu się nad stawem „Capri”, pluton przy zapadającym zmierzchu ruszył marszem ubezpieczonym w kierunku Ostoi od strony Pęcic. Tam, w stojącym na uboczu niewykończonym domu z czerwonej cegły, pluton zajął pozycję wyjściową. Zadanie plutonu, zgodnie z rozkazem majora „Pawła”, polegało na zaatakowaniu i likwidacji oddziału niemieckiego kwaterującego w sąsiednich willach na Ostoi.

Na rozkaz ppor. „Orlika” pluton poderwał się do ataku, opanowując przez zaskoczenie obie wille i przebywających tam żołnierzy Wehrmachtu. Zdobyli dziesięciostrzałowy karabin, pistolet typu „walther”, amunicję i niektóre przybory wyposażenia wojskowego. Odgłosy tej akcji zaalarmowały jednak Niemców kwaterujących w sąsiednich domach. Umożliwiło to zorganizowanie przeciwnatarcia. Siła ognia Niemców zmusiła pluton do wycofania się. „Orliki” rzucając granaty i ostrzeliwując się wrócili pod osłoną nocy na pozycję wyjściową.

W czasie kontrataku niemieckiego został ranny w kark dowódca plutonu ppor. „Orlik”. Wyprowadzony z zagrożonej strefy przez „Macieja” i „Czarnego”, dotarł do stacjonującego na przeciwnym krańcu Ostoi dowództwa sztabu i zdał majorowi „Pawłowi” relację z przebiegu walki. W sztabie ppor. „Orlik” zastał swojego kolegę z drużyny harcerskiej kpr. pchor. Ryszarda Kamińskiego „Włodka”, który wyraził chęć dołączenia do plutonu „Orlików”, na co mjr „Paweł” wyraził zgodę.

Rannym ppor. „Orlikiem” zajęły się sanitariuszki, jednak rana mocno krwawiła, w dodatku zaczął gorączkować. Powinno się mu zapewnić opiekę lekarską, co było nierealne. Można mu było natomiast zorganizować lepsze warunki. Wobec tego „Maciej”, „Czarny” i „Włodek”, korzystając z ciemności, przeprowadzili swego dowódcę do gajówki w Lesie Chlebowskim. Dotarli tam już nad ranem.

Dowództwo plutonu przejął w tym czasie zastępca ppor. „Orlika” kpr. pchor. „Smuga”. Zorganizował on pluton do akcji, nawiązał łączność ze sztabem Rejonu VI, skąd dostał rozkaz przeprowadzenia plutonu do nowego miejsca koncentracji w gajówce „Pod Wolicą”. Na szczęście zapadła już noc, co dawało względne bezpieczeństwo. Zaczął jednak padać deszcz. Całą noc maszerowali polami w strugach deszczu, omijając zaalarmowane strzelaniną posterunki niemieckie rozstawione w Pęcicach i Komorowie. Świtało, kiedy znaleźli się w gajówce. Tam pluton „Orlików” został podporządkowany por. Bogdanowi Borkowskiemu „Burzy”, który ze swoją kompanią inną drogą przyszedł także z Ostoi. Zmęczeni i przemoknięci żołnierze mogli wreszcie odpocząć, wysuszyć ubranie i obuwie, przede wszystkim jednak mogli wreszcie poczuć się bezpiecznie. Gajówka zawrzała życiem. Spotkało się tam wielu dobrych kolegów, bliskich przyjaciół, którzy dotychczas nie mieli o sobie nawzajem pojęcia, że są żołnierzami Armii Krajowej. Powoli ustępowało zmęczenie i napięcie ostatnich godzin, wywołane wrażeniami tego niezwykłego dnia. Wreszcie ułożyli się do snu na miękkim sianie w stodole. Czuwali nieliczni, wyznaczeni na czujki przez dowódców.

Służbę wartowniczą, której zadanie polegało na obserwacji szosy od strony wsi Wolica, powierzono Zdzisławowi Zaborskiemu „Błyskawicy” – żołnierzowi VI Rejonu AK VII Obwodu „Obroża”. Pierwsze

godziny warty upłynęły w niczym niezmałconej ciszy. Czuwający „Błyskawica” w pewnym momencie zauważył wynurzających się z ciemności trzech mężczyzn, którzy szli skrajem lasu. Zatrzymali się na wezwanie, ale nie znali hasła. Zostali zatem odprowadzeni do gajówki. Jak się okazało, dwóch z nich było powstańcami z Warszawy z IV Obwodu Ochota dowodzonego przez podpułkownika Mieczysława Sokołowskiego „Grzymałę”, trzeci był ich przewodnikiem. Zgodnie z rozkazem „Grzymały” żołnierze mieli udać się do Lasów Sękocińskich po broń*.

Pod Pęcicami jednak natknęli się na trzy samochody z niemieckimi żołnierzami, wywiązała się walka ze strażą przednią kolumny „Grzymały”. Żołnierze z Ochoty zaatakowali następnie Niemców w parku otaczającym pałac. Natarcie załamało się w ogniu karabinów maszynowych z pałacu oraz ustawionych na wzgórzu, górującym nad doliną rzeczki Raszynki.



Mauzoleum w Pęcicach ku czci zamordowanych 2 sierpnia 1944 r., fot. Z. Zaborski

* Wędrownka żołnierzy „Grzymały” z Warszawy została opisana w numerze 2/1994 „Przeglądu Pruszkowskiego” przez uczestnika wydarzeń Witolda Arendarczyka „Zygotę”.

Rozbity i całkowicie rozproszony został pluton harcerskiego baonu „Zośka”. Poległo 31 powstańców, 60 dostało się do niewoli, wśród nich wielu rannych. Jednakże głównej grupie, liczącej około 450, przeważnie bezbronnym powstańców wraz z ppłk „Grzymałą”, udało się wyjść z pola ostrzału i przedostać do lasu. Drugiego sierpnia około godziny 18.00 Niemcy po bestialskim przesłuchaniu zamordowali wszystkich jeńców. Wśród nich była także łączniczka Anna Murzecka „Walka” oraz czterech łączników VI Rejonu z Piastowa.

Na miejscu tej zbrodni znajduje się obecnie pomnik mauzoleum ku czci poległych.

Wiadomości o tragicznych wydarzeniach w Pęcicach i o zdobyciu elektrowni pruszkowskiej dotarły do „Orlików” później, dopiero gdy znaleźli się w Lasach Chojnowskich. Zrozumieli wówczas, że odgłosy wystrzałów, serie z broni maszynowej, które słyszeli 2 sierpnia, dochodzące do nich, gdy odpoczywali późnym popołudniem w gajówce, oznaczały odejście na wieczną wartę żołnierzy z Ochoty.



Gajówka „Pod Wolicą” w Lesie Sękocińskim, miejsce postoju sztabu Zgrupowania Pruszkowskiego w dn. 2 sierpnia 1944, widok obecny, fot. Z. Zaborski

Gajówkę „Pod Wolicą” oddziały VI Rejonu opuściły w nocy z drugiego na trzeci sierpnia. Zgodnie z rozkazem udały się na nowe miejsce koncentracji. Wyznaczono je w Walendowie w Zakładzie Opieki pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny prowadzonym przez siostry zakonne. Maszerując małymi grupkami, marszem ubezpieczonym, żołnierze znaleźli się u celu rankiem 3 sierpnia.

Gościnne siostry przyjęły niespodziewanych przybyszów serdecznie, podejmując ich smacznym, gorącym śniadaniem. Żołnierze mieli też sposobność dosuszenia mokrej jeszcze odzieży i butów w piekarni zakładu. Ten dzień, podobnie jak poprzedni, upłynął na pełnieniu wart i patrolowaniu okolicy.

Czwartego sierpnia po nocy przespanej w stodole pluton „Orlików” spotkała krzepiąca niespodzianka: do oddziału powrócił podporucznik „Orlik” oraz towarzyszący mu „Maciej”, „Włodek” i „Czarny”. Ranny dowódca czuł się już na tyle dobrze, że przejął dowodzenie plutonem od kaprała podchorążego „Smugi”. Nie chcąc narażać sióstr na ewentualne represje ze strony Niemców, oddziały wyszły z Zakładu Opiekuńczego i ruszyły w kierunku pobliskich Lasów Sękocińskich.

Zbliżało się południe, gdy jeden z patroli napotkał samochód ciężarowy jadący leśną drogą prowadzącą z Nadarżyna do Walendowa. Pluton zaatakował pojazd, którego pasażerowie, żołnierze Wehrmachtu, uciekli w las, pozostawiając w samochodzie ранego kolegę. W zdobytym samochodzie znaleziono kilka sztuk broni, żywność i materiały opatrunkowe. Sanitariusz opatrzył ранego Niemca, którego przetransportowano Walendowa, pod opiekę sióstr.

W tym samym dniu, to jest czwartego sierpnia po południu, komendant VI Rejonu mjr „Paweł” wydał rozkaz o demobilizacji i powrocie do konspiracji żołnierzy nie posiadających broni. Żołnierzom posiadającym broń dano prawo wyboru. Kompania por. „Burzy” i pluton ppor. „Orlika” postanowiły pozostać w lesie.

Pluton „Orlików” i kompania „Burzy”, zgodnie z decyzją dowództwa, opuściły zakład w Walendowie, serdecznie żegnane przez siostry oraz ich kapelana. Ksiądz udzielił żołnierzom absencji, to jest odpuszczenia grzechów „in articulo mortis”, jakie dostają osoby zagrożone śmiercią, bez możliwości uprzedniej spowiedzi. Siostry obdarowały żołnierzy szkaple-rzami z wizerunkiem Matki Boskiej i błogosławieństwem na drogę.



Szkaplerze „Orlików”; od lewej ofiarowany przez siostry w Walendowie oraz szkaplerz od kapelana 72 pułku piechoty, fot. NN

Opuściwszy gościnny dom zakonnic żołnierze „Orlika” wraz z oddziałem „Burzy” wymaszerowali z Lasu Sękocińskiego w stronę gajówki w Chlebowie. Dotarli tam przed nocą i rozkwaterowali się w stodole.

Następny dzień jednak rozpoczął się tragicznym wydarzeniem. Jego przebieg i konsekwencje okazały się dla strzelca Witolda Lipińskiego „Wilka” dramatyczne. Był jednym z pierwszych poważnie rannych żołnierzy w plutonie „Orlików”, a jego dzieje to typowe losy żołnierzy Armii Krajowej, którym przyszło walczyć i egzystować w bardzo trudnych warunkach.

A oto jak strzelec „Wilk” opisał to, co mu się przytrafiło:

„Na pierwszym postoju w dniu 5 sierpnia w gajówce w Lesie Chlebowskim oddział nasz został znienacka zaatakowany przez uzbrojony samochód niemiecki, w wyniku czego zostałem ranny w łokieć lewej ręki. Napad niemiecki został natychmiast odparty,

samochód szybko wycofał się i odjechał w kierunku Komorowa. Rana mojej ręki okazała się bardzo poważna: miałem strzaskaną część stawu łokciowego. Było to także przeszkodą w dalszym marszu oddziału. Wobec bliskości wojska niemieckiego stacjonującego w Komorowie, postanowiono, że zostanę odprowadzony do najbliższej osady ludzkiej, jednak w przeciwnym kierunku niż oddział. W odległości 3 kilometrów, koło Nadarzyna leżał majątek Paszków. Istniała więc nadzieja, że tam uzyskam kompetentną opiekę i moja ręka zostanie opatrzona.

Porucznik »Orlik« wyznaczył ze swego plutonu specjalny patrol, mający mnie przeprowadzić do Paszkowa. Byli to: podchorąży »Stach« – jako dowodzący oraz »Czarny«, »Karaś«, »Orzeł« i »Zemsta«, ponadto trzech żołnierzy z kompanii »Burzy«: »Goryl« (Mateusz Rzeczycki), »Hebelek« (Zenon Piasecki) i »Oracz« (January Wachulski).

Dzień był skwarny, kiedy wyruszyliśmy leśną, miejscami wyboistą drogą do odległego o 3 kilometry Paszkowa. Wlokłem się podpierany przez kolegów. Zwisająca bezwładnie ręka mocno krwawiła, owinięto więc ją ręcznikami, bo brakowało środków opatrunkowych. Nie można jej było jednak unieruchomić, więc każda nierówność terenu sprawiała mi tak nieznośny ból, że chwilami traciłem przytomność, co przynosiło mi ulgę w męczarni. W tych momentach koledzy musieli mnie nieść. Dźwigali mnie wtedy najbliżsi koledzy: »Karaś« i »Orzeł«.

W Paszkowie umieszczono mnie na piętrze małego dworku, gdzie opatrzono mi ranę i przygotowano miejsce na spoczynek. Bezpośrednią opiekę nade mną sprawowali »Karaś« i »Orzeł«, wspomagani przez pozostałych kolegów z patrolu.

Nie był nam jednak pisany dłuższy pobyt, gdyż mniej więcej godzinę później nadjechał od strony szosy nadarzyńskiej niemiecki samochód z grupą wyższych oficerów z dywizji pancerniej SS »Hermann Göring«. Na szczęście patrol czuwający na parterze dworku skutecznie interweniował, likwidując czteroosobową grupę Niemców: trzech oficerów i kierowcę. Patrol odprowadzający mnie do Paszkowa nie poniósł żadnych strat. Strzelanina wywołała popłoch wśród mieszkańców dworku i pobliskiej osady Paszków.



Dworek w Paszkowie, miejsce likwidacji oficerów dyw. SS „Hermann Göring” w dniu 5 sierpnia 1944 r., widok obecny, fot. H. Krzyczkowski

Zaalarmowała też przebywających w Lesie Chlebowskim żołnierzy z kompanii „Burzy” i plutonu „Orlika”, którzy szybkim marszem przybyli do Paszkowa. Po zapoznaniu się z relacją o przebiegu akcji i jej szczęśliwym zakończeniu, ppor. „Orlik” wydał rozkaz wywiezienia do lasu i pochowania tam zabitych Niemców. Uszkodzony samochód, po dokładnym przeszukaniu, należało spalić. [Wyciąg z niemieckiego meldunku IC/AC/ABW Bandy – 4.08.44: »Pod Paszkowem (6 km płdn Pruszków) 15 bandytów napadło na samochód osobowy lotnictwa. Trzech żołnierzy zostało zabitych, samochód spalony«].

W zdobytym samochodzie znajdowały się tajne dokumenty wojskowe dotyczące aktualnej sytuacji na froncie, mapy sztabowe i lotnicze oraz rozkaz traktowania Polaków, stawiających opór – jak bandytów. We wnętrzu samochodu znaleziono także specjalny sprzęt radiowy i inne wyposażenie wojskowe. Najcenniejszą zdobyczą

dla leśnych żołnierzy była jednak broń: jeden pm., pięć pistoletów krótkich i znaczna ilość amunicji. Dokumenty zabitych Niemców [Byli to oficerowie dywizji pancernej SS »Hermann Göring«: płk Öhring, mjr Rüse, kapitan i podoficer szofer. Nazwiska dwóch ostatnich nie zachowały się w notatkach.] i ich odznaczenia wojskowe wręczono jednemu z żołnierzy »Burzy« z rozkazem oddania ich »Pawłowi«, dowódcy VI Rejonu.

Akcja w Paszkowie wywołała zrozumiały strach okolicznych mieszkańców, bo – jak wiadomo – Niemcy stosując zasadę odpowiedzialności zbiorowej, dokonywali masowych egzekucji ludzi zamieszkałych w pobliżu. Robotnicy z Paszkowa rozpieczętowali się po okolicy, starając się ująć zemście okupantów. Żandarmeria w Nadarzynie, powiadomiona o wydarzeniach w Paszkowie, ujęła jednak kilku zakładników, których los byłby przesądzony, gdyby nie interwencja Niemca pełniącego funkcje administratora w sąsiednich majątkach. Zakładników zmuszono tylko do wskazania miejsca, gdzie zakopano zabitych Niemców. Ich ciała zostały ekshumowane i przewiezione do Nadarzyna. Ukrywający się dotąd mieszkańcy Paszkowa zaczęli wracać do domów.

Pluton »Orlików« i kompania »Burzy« wyruszyły do zagajnika, by ukryć się tam do nastania nocy, bo wtedy istniała szansa prętko transportowania mnie w miejsce, gdzie udzielono by mi pomocy. Prowadzony przez uprzednio wyznaczony patrol z trudem podążałem za kolegami. Z ulgą korzystałem z możliwości odpoczynku w cieniu drzew. Nim jednak doczekaliśmy zmierzchu, jeden z kolegów należący do »mojego« patrolu, »Hebelek« wyszedł z lasu, zapewniając, że znajdzie sposób szybszego zapewnienia mi pomocy. Po stosunkowo krótkim czasie wrócił... z bryczką, autentyczną bryczką, zaprzężoną w dwa konie. Wyjaśnił, że zarekwirował ją jakiemuś folksdojczowi. Graniczyło to z cudem, ale był to fakt. Ustalono, że zostanę oddany pod opiekę sióstr w Walendowie, które udzielą mi pierwszej pomocy, a następnie zostanę przewieziony do szpitala w Pruszkowie. Okazało się jednak, że w Walendowie nie mogę zjawić się, bo przebywał tam ranny Niemiec, znaleziony w ostrzelanej przez nas 4 sierpnia ciężarówce. W związku z tym »Hebelek« przewiózł mnie zdobyczną bryczką do chaty rybaka »Na grobli«, która już nie raz

dawała schronienie i ratunek żołnierzom AK. Przedtem pożegnałem się z plutonem »Orlików«, którzy mieli zamiar przedostać się do walczącej Warszawy.

Do opieki nade mną pozostawiono dwóch kolegów ze zgrupowania porucznika »Burzy«.

Dopiero 7 sierpnia Niemcy zabrali swojego rannego do szpitala w Nadarzynie, co otwierało mi drogę do zakładu sióstr w Walendowie. Zostałem ulokowany w specjalnym pomieszczeniu, gdzie, jak się okazało przebywał już bardzo ciężko ranny (strzaskanie miednicy) porucznik Roman Morawski ze zgrupowania ppłk »Grzymały« z Ochoty. Porucznik został ranny pod Pęcicami w czasie przeprawy do Lasu Sękocińskiego. Opiekę nad nami sprawowała doktor Siennicka (?) – lekarz pediatra z Warszawy.

Dopiero jednak 12 sierpnia udało się, pod opieką dwóch sanitariuszek VI Rejonu: Sobolewskiej i Romankiewiczówny, przewieźć mnie i por. Morawskiego lekkim pojazdem konnym do szpitala »Wrzesin« w Pruszkowie. Wyprawa ta nastroczała szereg trudności, zarówno z uwagi na ciężki stan zdrowia por. Morawskiego, jak też z racji licznych patroli niemieckich w terenie, a zwłaszcza w pobliżu szpitala we Wrzesinie.

Porucznik Morawski był właścicielem szeregu majątków ziemskich w okolicach Piaseczna i władał biegle językiem niemieckim. Do podróży przygotowywała go doktor Siennicka, podając mu zastrzyki z morfiny, dzięki czemu mógł przyjąć pozycję siedzącą i zachować pełną sprawność umysłową.

Okazało się to bardzo pomocne; w chwili, gdy dojeżdżaliśmy do Wrzesina od strony Pęcic, zostaliśmy zatrzymani przez samochodowy patrol niemiecki i tylko dzięki dzielnej i mądrej postawie porucznika i przedstawieniu posiadanych dokumentów, potwierdzających jego pozycję obywatela ziemskiego, uniknęliśmy zatrzymania i dalszych znanych wszystkim konsekwencji.

We „Wrzesinie” przyjęto nas bardzo serdecznie i otoczono troskliwą opieką. Sytuacja w szpitalu była makabryczna: brakowało leków, opatrunków oraz bielizny i środków do prania. Tymczasem z Warszawy bez przerwy napływali ranni powstańcy, dowożeni kolejką EKD. W tej sytuacji dokonywano tam jedynie niezbędnych ope-

racji, a do dalszego leczenia pacjentów przekazywano do punktów lekarskich organizowanych na trasie kolejki: w Podkowie Leśnej, Milanówku i Grodzisku.

Opiekę nad mną i porucznikiem Morawskim sprawowała dr Izabela Wolfram »Bożymir II«, zastępca naczelnego lekarza VI Rejonu oraz dyrektor szpitala płk Dobulewicz. Porucznik Morawski został natychmiast operowany, lecz stan jego zdrowia budził poważne obawy, gdyż nastąpiło zakażenie, a brak było leków mogących skutecznie je zlikwidować. Niestety, mniej więcej dziesięć dni po operacji porucznik Morawski zmarł. Został pochowany na cmentarzu w Pruszkowie w kwaterze powstańczej. Ja natomiast miałem trochę szczęścia. Na podstawie badań lekarskich zostało stwierdzone, że mimo uszkodzenia stawu łokciowego, ścięgna i nerwy pozostały nienaruszone, uchroniło to rękę od amputacji."

Cofnijmy się w czasie do 6 sierpnia 1944 roku. Pluton „Orlika” i kompania „Burzy” po nocy spędzonej w gajówce „Pod Konopką” podjęły decyzję o rozdzieleniu się. Kompania „Burzy” rozwiązała się i przeszła do konspiracji, Pluton „Orlika” zaś postanowił pozostać w lesie.

Pożegnawszy się z kolegami bratniego zgrupowania żołnierze plutonu „Orlików” przeszli wieczorem przez Las Sękociński, szosę krakowską i Magdalenkę, udając się do Lasów Chojnowskich. W lasach tych znajdowało się już zgrupowanie z Ochoty pod dowództwem ppłk Mieczysława Sokołowskiego „Grzymały”, które po stratach doznanych pod Pęcicami skierowało się bezpośrednio przez Walendów w Lasy Chojnowskie.

W Lasach Chojnowskich pod Wólką Pracką żołnierze ppor. „Orlika” przypadkowo przyłączyli się do walki, którą toczył oddział por. Tadeusza Gaworskiego „Lawy” z oddziałem niemieckim pędzącym stado zarekwirowanego bydła. Niemcy skapitulowali, a leśni żołnierze zdobyli solidne zaopatrzenie dla swej niezbyt bogatej spiżarni.

Po tej akcji pluton „Orlika” i oddziały „Lawy” przeszły do Lasów Chlebovskich. Oprócz nich znajdował się tam także oddział por. „Brzaska” oraz zgrupowanie ppłk „Grzymały”. Dowództwo zgrupowania z Ochoty po wielu naradach zdecydowało, że najlepiej uzbro-

jone oddziały przejdą do walczącej Warszawy, a oddziały uzbrojone słabiej zostaną zdemobilizowane.

Oddziały ppor. „Orlika”, por. „Lawy” i por. „Brzaska”* zdecydowały się natomiast na przemarsz do Puszczy Kampinoskiej, gdzie, jak dochodziły wieści, znajdowały się silne zgrupowania Armii Krajowej. Odbływały się tam ponadto upragnione zrzućy broni, istniała więc nadzieja dozbrojenia się. A to oznaczało możliwość prowadzenia bardziej skutecznej walki z Niemcami.

W okolicach Wólki Prackiej 13 sierpnia został przypadkowo ranny w brzuch kpr. pchor. Ryszard Szewczyk „Stach” z plutonu „Orlika”. Odwieziony do szpitala w Piasecznie zmarł 14 sierpnia. Ryszard Szewczyk „Stach” został pochowany na cmentarzu w Piasecznie. Po zakończeniu wojny w 1945 roku został ekshumowany i przeniesiony do grobu rodzinnego na cmentarzu w Żbikowie.

Wieczorem 13 sierpnia oddziały, z których każdy podążył inną trasą, wymaszerowały do Puszczy Kampinoskiej. Przemarsz większej kolumny ludzi tą samą drogą był zbyt niebezpieczny z uwagi na nasilony ruch wojsk niemieckich w tej strefie. Trasa przemarszu plutonu „Orlika” przebiegała przez Magdalenkę, Lasy Sękocińskie, Komorów, Pruszków. Linie kolejową Warszawa – Żyrardów pluton przekroczył w nocy z 14 na 15 sierpnia kanałem odwadniającym pod torami, niedaleko przejazdu kolejowego w Parzniewie.

Z nastaniem dnia pluton zatrzymał się w zaroślach leszczynowych koło Józefowa. Żołnierze odpoczywali blisko drogi i widzieli ludzi z wiązkami ziela i kwiatów, idących do kościoła. Było przecież święto Matki Boskiej Zielnej.

Dalszy marsz rozpoczęto pod osłoną nocy.

* Porucznik „Brzask” – Kazimierz Jaczewski, dowódca plutonu 404 na Ochocie, przeszedł przez Pęcice do Lasów Chojnowskich, następnie na czele 40-osobowego oddziału udał się do Kampinosu. Oddział został rozbity pod Brwinowem, część jego, licząca 6 żołnierzy, dotarła do Kampinosu i zasilila kompanię „Lawy”.

V

RZECZPOSPOLITA KAMPINOSKA

Przez kilka dni pluton „Orlików” szedł marszem ubezpieczonym [Zasady marszu ubezpieczonego opisane zostały przez braci Makowskich – Antoniego „Gerwazego” i Jana „Orła” – na str. 132], bo tak zawsze prowadził swoich podkomendnych ppor. „Orlik”. Szli tylko nocą, w dzień znajdowali schronienie w lasach lub zagajnikach. Wreszcie 17 sierpnia dotarli do wsi Korfowo, położonej na obrzeżu Puszczy Kampinoskiej. Miejsce na kwaterę wskazał im jeden z żołnierzy plutonu – „Bez”, którego rodzina miała tam gospodarstwo. Następnego dnia po przybyciu do Puszczy ppor. „Orlik” uzyskał kontakt z dowództwem Pułku Palmiry – Młociny i pluton został włączony do batalionu mjr Władysława Starzyka „Korwina” do kompanii por. Michała Sroczyńskiego „Nowiny”, która kwaterowała we wsi Truskawka. Pluton przeszedł więc z Korfowa do Truskawki i przejął część zadań wyznaczonych dla kompanii por. „Nowiny”, pełnienie służby ubezpieczającej na placówkach w miejscowościach Ławy i Pociecha. Doskonale też wyszkolenie wojskowe.

Z chwilą przybycia do puszczy życie plutonu „Orlików” potoczyło się odmiennym nurtem. Znaleźli się w zorganizowanej strukturze wojskowej, która czas ujmowała w karby ustalonego porządku i dyscypliny.

Zaplecze leśnej armii stanowiły następujące służby: kwatermistrzostwo, łączność, służby medyczne i sanitarne, wywiad daleki i bliski, żandarmeria, Wojskowa Służba Ochrony Powstania, Wojskowa Służba Kobiet i duszpasterstwo.

Bezpośrednie kontakty „Orlików” z oddziałami Grupy Kampinos podniosły na duchu żołnierzy pruszkowskiego plutonu, obudziły optymizm i spowodowały wyraźną poprawę nastrojów. Byli wreszcie w obozie wojskowym w otoczeniu prawdziwych żołnierzy, z których wielu nosiło polskie mundury z przedwojennymi orzełkami na

czapkach. Czuwały patrole konne uzbrojone w karabiny ręczne i maszynowe, były też cekaemy na taczankach. Niektóre oddziały dźwigały z dumą broń ze zrzutów, jeszcze mało znaną przez pruszkowiaków: „piaty” – ręczne wyrzutnie granatów przeciwpancernych, „steny” – ręczne karabiny maszynowe, „gammony” – granaty przeciwczołgowe.

Dobrze wyposażone były przede wszystkim oddziały por./majr. Adolfa Pilcha „Doliny”. Por./mjr Adolf Pilch, cichociemny, zrzucony na teren okupowanej Polski w nocy z 16 na 17 lutego 1943 roku, znalazł się na Kielecczyźnie. Stamtąd po kilkumiesięcznym pobycie w Warszawie skierowany został do Stołpców. Objął tam funkcję zastępcy dowódcy Zgrupowania Stołpecko – Nalibockiego Armii Krajowej, przybierając pseudonim „Góra”. Przy pomocy fortelu i za sprawą przysłowiowego łutu szczęścia, 24 lipca 1944 r. przekroczył ze swym zgrupowaniem Wisłę pod Nowym Dworem. W dniu 29 lipca zgrupowanie dotarło do Puszczy Kampinoskiej, gdzie Adolf Pilch zmienił pseudonim na „Dolina”. Na bazie Zgrupowania Stołpecko – Nalibockiego w pierwszych dniach sierpnia, w kilka dni po bitwie o lotnisko bielańskie, został utworzony Pułk „Palmiry – Młociny”.

Dla żołnierzy Kampinosu byli przykładem karności i znakomitego opanowania walki w partyzantce.

Początkowo „Orliki”, jak i inne oddziały, pełniące służbę na placówkach, zaopatrywane były w broń i amunicję z jednostki macierzystej, stanowiącą jej własność. Stopniowo jednak przybyłym żołnierzom przydzielano broń osobistą.

Ujednolicone zostało także umundurowanie plutonu. Jego żołnierze otrzymali zdobyczne drelichowe płachty namiotowe, malowane w mozaikę zieleni, brązu i szarości, idealnie zharmonizowaną ze środowiskiem leśnym lub polnym. Płachty te odpowiednio złożone i podtrzymywane pasem, z powodzeniem imitowały autentyczne wojskowe „panterki”.

Własnym już przemysłem żołnierze „Orlika” zaopatrzyli się w przedwojenne polskie hełmy, porzucone w lasach i na polach po kampanii wrześniowej. Hełmy te odnaleźli, pozbierali, doczyścili do połysku hełmowe czerepy, uzupełnili paski, których brakowało, i dopasowali do rozmiaru głów. W ten sposób pluton „Orlików” zyskał nie



Pluton „Orlików” w marszu, fot. E. Widlicki

tylko reprezentacyjny wygląd, ale miał prawo uważać się za spadkobiercę żołnierzy Września i ich idei walki o wolność. Dzięki temu oddział okrzepł, żołnierze lepiej się poznali wzajemnie i żyli.

Życie plutonu pruszkowskiego biegło odtąd według regulaminowego porządku. O godzinie szóstej budziła żołnierzy pobudka, po niej gimnastyka i poranna toaleta. Potem zasiadano do śniadania, na które składały się kawa zbożowa i chleb z serem. Następne godziny poświęcone były doskonaleniu wojennego rzemiosła: musztrze, ćwiczeniom w terenie, czytaniu map. Po trudach zdobywania wiedzy, chwila wytchnienia – obiad. Składał się on z zupy, jak byśmy dziś powiedzieli „z wkładką”, czyli takiej, w której pływały kawałki mięsa. Bywały jednak także i „postne” zupy. W połowie sierpnia 1944 roku Grupa Kampinos liczyła 2751 żołnierzy (liczba ta została zaczerpnięta z pracy Jerzego Koszady „AK Grupa Kampinos”). Dla tak wielkiej liczby ludzi, zdobycie odpowiedniej ilości mięsa na porcje obiadowe, w warunkach okupacji nie było rzeczą łatwą. Po obiedzie prowadzone było szkolenie z taktyki, potem czyszczenie broni. Między godziną

17.00 a 18.00 zjadano kolację, po której były dwie godziny „wolnego”. Żołnierze „Orlika” wspominali, że ich dowódca przesadnie dbał o ich sprawność bojową i fizyczną, bo właśnie wtedy, gdy każdy miał własne koncepcje jak spędzić wolny czas, urządzał im dodatkową porcję ćwiczeń. O 20.00 zbierano się grupami na apel wieczorny i modlitwę. Oczywiście taki porządek dnia obowiązywał tylko tych, którzy nie mieli innych zadań, nie brali udziału w żadnej akcji. Na apelach śpiewano różne piosenki wojskowe, często legionowe czy „Serce w plecaku”. Podczas mszy polowej jednak las rozbrzmiewał Hymnem Puszczy [utwór ten, do którego słowa napisał Adam Kowalski, powstał w październiku 1939 roku, jako „pieśń obozowa” oficerów polskich internowanych w Rumunii]:

*O Panie, któryś jest na niebie
Wyciągnij sprawiedliwą dłoń!
Wołamy z puszczy dziś do Ciebie
O polski dach, o polską broń.*

*Ref.: O Boże, skrusz ten miecz,
Co siecze kraj,
Do wolnej Polski nam
Powrócić daj!
By stał się twierdzą nowej siły
Nasz dom, nasz kraj.*

*O usłysz Panie skargi nasze,
O usłysz nasz tułaczy śpiew!
Znad Warty, Wisły, Bugu, Niemna
Męczeńska woła Cię krew.*

*Ref.: O Boże, skrusz ten miecz,
Co siecze kraj,...*

*W poszumie drzew błogosław Panie,
Przysięgę naszą aż po grób:
Cokolwiek było lub się stanie,
Nie damy Kresów, to nasz ślub.*

*Ref.: O Boże, skrusz ten miecz,
Co siecze kraj...*



Kompania „Lawy” na placu apelowym. Z lewej Pruszkowski pluton „Orlików”, z prawej warszawski pluton „Lawiaków”, Wiersze, 17 września 1944 r., fot. E. Widlicki

Trzecią strofę hymnu, jak nietrudno się domyśleć, dopisali „Doliniacy”.

Poczucie wolności, jakie dawała puszcza, zwana też Rzeczpospolitą Kampinoską, młodzieńczy zapał, chęć odwetu na wrogu, poczucie braterstwa broni, nie mające równego sobie sentymenty w stosunkach międzyludzkich – to blaski życia w leśnej armii. Były także i cienie: tęsknota za domem, rodziną, noclegi w stodołach, trwanie w ciągłej czujności, a nierzadko bunt żołądka nienasyconego w stopniu potrzebnym dla młodego organizmu, często zmuszanego do dużego wysiłku. Wprawdzie kwatermistrzostwo VIII Rejonu Obwodu „Obroża” Armii Krajowej, obejmującego teren Puszczy Kampinoskiej od początku swego istnienia starało się wśród dworów i gospodarstw zabezpieczyć dostawy żywności na wypadek powstania, mimo jednak wielkiej ofiarności mieszkańców bliższych i dalszych okolic, zaopatrzenie dla tak licznej grupy żołnierzy było bardzo trudne. Działalność kwatermistrzostwa VIII Rejonu opisuje łączniczka i uczestniczka zrzutów Grupy Kampinos Zofia Borkowska-Gombin „Lilia” w relacji „Zaopatrzenie Grupy Kampinos w żywność” (str. 121–124).

Mimo wspomnianych niedogodności życie w partyzantce miało swój niewątpliwie urok. Dowodem tego jest fakt, że kpr. pchor. „Ma-



Dowódca Kompanii Lotniczej do Zadań Specjalnych, por. Tadeusz Gaworski „Lawa”,
fot. E. Widlicki

ciej”, wysłany służbowo do Pruszkowa, wracając do lasu przyprowadził pięciu swoich kolegów, którzy jako nowi ochotnicy dołączyli do plutonu „Orlików”. Nowo zaciągnięci to: Kazimierz Radwański „Górski”, Jędrzej Rejmer „Stefania”, Eugeniusz Widlicki „Leszek”, Włodzimierz Rejmer „Lolek” i Jan Szpotowicz „Kret”.

W dniu 7 września pluton „Orlika” został wcielony do kompanii por. Tadeusza Gaworskiego „Lawy”. Powstała w ten sposób Kompania Lotnicza do Zadań Specjalnych. Nazwa ta, trochę szokująca, zważywszy, nieobecność lotnictwa w polskiej armii podziemnej, a więc i w puszczy, jednak tłumaczy ją datująca się niemal od kołyski pasja do lotnictwa dowódców: por. „Lawy” i ppor. „Orlika”. Od tego momentu „Orliki” i „Lawiacy” wspólnie toczyli partyzanckie boje. Pluton „Orlików” zaś znalazł swoje ostateczne miejsce w Grupie Kampinos. W połowie sierpnia 1944 r. w jej skład wchodziły inne jednostki, których wykaz i liczebność podajemy w tabeli obok, zaczerpniętej z pracy Jerzego Koszady „AK Grupa Kampinos” (Warszawa 1999):

Jednostka	Oddziały	Liczba oficerów	Liczba podoficer. i szereg.	Razem
Pułk Palmiry- Młociny	Dowództwo i poczet	6	64	70
	Dywizjon kawalerii: 4 szwadrony kawalerii 1 szwadron ckm	6	579	585
	Batalion piechoty: 4 kompanie Zwiad konny Kompania zrzutów	24	740	764
	Razem	36	1 383	1 419
Oddziały nie wchodzące w skład pułku Palmiry-Młociny, które znalazły się w Puszczy Kampinoskiej	Batalion sochaczewski d-ca mjr Władysław Starzyk „Korwin”	30	451	481
	Kompania Powstańczych OS „Jerzyki”, d-ca por. Jerzy Strzałkowski „Jerzy”	6	119	125
	Batalion legionowski d-ca por. Bolesław Szymkiewicz „Znicz”	15	170	185
	II batalion „Pięść” AK z Warszawy Kompania por. Stefana Matuszczyka „Porawy”	6	115	121
	Pluton ppor. Tadeusza Nowickiego „Orlika” „Orliki” z Pruszkowa	1	47	48
	Kompania Lotnicza por. Tadeusza Gaworskiego „Lawy”	1	63	64
	Kompania ppor. Franciszka Wiszniewskiego „Jurka” z Wierszy	1	75	76
	Oddział por. Mariana Olszewskiego „Marysia” z Woli	2	98	100
	Pluton ppor. Jerzego Dudzieca „Puchały” z Ożarowa	1	49	50
	Pluton saperów ppor. Bolesława Janulisa „Jurewiczka”	1	11	12
	Pluton por. Henryka Małowieckiego „Rana” z Pragi	1	47	48
	Oddział AL. ppor. Teodora Kufla „Teocha”	2	20	22
	Razem	67	1 265	1 332
Razem Grupa Kampinos		103	2 648	2 751



Msza św. polowa na placu apelowym w Wierszach. Z prawej kapelan i ministranci przy ołtarzu, z lewej mieszkańcy wsi. W tle korpus oficerski Zgrupowania Kampinos AK, fot. L. Gąszewski

Pierwsza wspólna akcja „Orlików” i „Lawiaków” miała miejsce 9 września. Podjęta została po doniesieniu, że kilkunastu Niemców prowadzi do fabryki konserw stado bydła, zarekwirowanego w okolicznych gospodarstwach. Stado liczyło około 300 sztuk i miało się zatrzymać w majątku Zaborów. Trudno było nie wykorzystać okazji zdobycia mięsa dla kwatermistrzostwa, borykającego się z problemem wykarmienia kilkutysięcznej armii partyzantów.

Na akcję wyruszone jak zwykle wieczorem, na wozach, z obstawą trzeciego szwadronu kawalerii. Było chłodno i siąpił deszcz. Po przybyciu do Zaborowa okazało się jednak, że Niemcy ze stadem, co prawda tam byli, ale niedawno pojechali dalej, do Pilaszkowa. Oddział ruszył za nimi.

I rzeczywiście, w Pilaszkowie byli Niemcy. Sami zakwaterowali się w pałacu, a bydło zapędzono do folwarku.

„Lawa” i „Orlik” ustalili podział zadań: Oddział „Lawy” zaatakował pałac, a równocześnie kawaleria wygnała bydło z folwarku i zabierze znajdujący się tam tabor niemiecki. Zachowując ciszę, ostrożnie, partyzanci podeszli do parku, przecięli druty ogrodzenia i zaczęli otaczać pałac. Mimo zachowania wszelkich środków ostrożności,



Pluton „Orlików”, pierwszy z lewej ppor. Tadeusz Nowicki „Orlik, fot. E. Widlicki

zaskoczenie jednak nie udało się. Niemcy pierwsi otworzyli ogień z okien na piętrze. Odpowiedzieli im „Lawiaczy” gęsto ostrzeliwując budynek. W czasie wymiany ognia Lech Gąszewski „Orion” już po raz drugi dostał postrzał w lewą dłoń.

„Lawa” wezwał obleganych Niemców do poddania się, oni jednak nadal strzelali. W tej sytuacji „Lawa” wydał rozkaz użycia „piata”. Wystrzał zniszczył werandę i drzwi wejściowe. Przez wybity otwór wrzucony został „gammon”, granat uderzeniowy. Nawiasem mówiąc użycie „gammona”, było cokolwiek przypadkowe, lecz konieczne, bowiem w ferworze walki granat został odbezpieczony i trzeba go było użyć natychmiast. Droga do pałacu stanęła otworem. W tym momencie z pałacu wybiegła młoda dziewczyna*, wołając, że w środku jest także trzydziestu uchodźców z Warszawy, których Niemcy traktują jak zakładników i przy dalszym ostrzale wszyscy obecni w pałacu Polacy mogą ucieść. W tej sytuacji „Lawa” zrezygnował ze zdobywania pałacu, poprzestając na jego blokadzie do chwili wyprowadzenia z folwarku zarekwirowanego bydła.

* Dziewczyną tą była czternastoletnia wówczas Maria Lipska „Maja”; obecnie lekarz medycyny – Maria Lipska-Dmochowska, poseł na sejm RP z ramienia „Solidarności”.



Ppor. Tadeusz Nowicki „Orlik” (z prawej) w rozmowie z kpr. Leszkiem Chechlińskim „Lotem”, fot. E. Widlicki

Kawaleria wyprowadziła więc – zgodnie z rozkazem – zarekwirowane bydło do miejsca zakwaterowania, zabierając ponadto z pozostawionych przez Niemców ciężarówek konserwy mięsne i buty. Dzięki temu wzbogacono zapas żywności i uzupełniono obuwie dla leśnej armii.

Grupa, która z takim sukcesem wykonała zadania, przez dwa dni miała jedynie pełnić służbę uzupełniającą. Jednak 11 i 12 września nie należały do spokojnych. O przebiegu wydarzeń z tego okresu mówią dwie relacje. Według pierwszej, 11 września nad miejscem zakwaterowania partyzantów krążył przez długi czas niskim lotem samolot rozpoznawczy, tzw. „rama”. Zaniepokojone tym dowództwo dało rozkaz ostrzelania maszyny. Według drugiej wersji dowództwo

zabroniło strzelania do samolotu, gdyż zdradziłoby to miejsce postoju polskich jednostek. Niestety, nerwy któregoś z żołnierzy nie wytrzymały i strzelił, a w ślad za nim inni.

Bez względu na to, która wersja jest bliższa prawdy, Niemcy w odpowiedzi na ostrzał odpowiedzieli ogniem z broni pokładowej. Tu zdania były zgodne. Na szczęście nie spowodowało to strat w szeregach partyzanckich, a i Niemcom udało się wyjść bez szwanku.

Dwunasty września był dniem niespokojnym, nadchodziły niepokojące wieści; Niemcy rozpoczęli atak od strony wsi Pociecha, gdzie żołnierze mjr „Korwina” już trzeci dzień bronili placówki. Do zgrupowania dotarła też wiadomość, że „oczyszczone” przez partyzantów wsie Truskaw i Sieraków zostały odbite przez Niemców. Wszystkie te informacje nie wpływały dodatnio na nastrój żołnierzy. Tym bardziej, że nadchodziła jesień: chłodne noce, poranne mgły, deszcze także uprzykrzały im życie. Broniąc się przed nostalgią partyzanci w stodole, w której spędzali noce, urządzali, wbrew zakazom dowództwa, koncerty. Popisy solowe dawał na harmonijce ustnej „Fetny”, jeden z dwóch przybyłych z Warszawy AL-owców*.

Ani niepomysłne wiadomości, ani jesienna aura nie osłabiły ducha bojowego „Orlików”. Ich pluton wcielony do kompanii „Lawy”, noszącej nazwę Kompanii Lotniczej do Zadań Specjalnych, toczył wraz z nią starcia i potyczki. Dowódca kompanii por. Tadeusz Gawor-



W gotowości bojowej. Przy karabinach z lewej: kpr. Jan Makowski „Orzeł”, strz. Józef Jerzak „Sum”, fot. E. Widlicki

* Po upadku Starówki do „Lawy” dołączyło dwóch żołnierzy Armii Ludowej: kpr. Franciszek Fabisiak „Rąbaj” oraz plutonowy „Fetny”.



Czyszczenie broni na kwaterze, fot. E. Widlicki

ski „Lawa” pochodził z okolic Krakowa. Był przedwojennym oficerem, który przedostał się do Anglii po klęsce wrześniowej 1939 roku. Tam został przeszkolony na kursie dla komandosów. W nocy z 25 na 26 stycznia 1943 roku został zrzucony jako cichociemny w okolicy Białobrzegów. W Grupie Kampinos zadanie kompanii polegało na wspieraniu bojowym placówek na zagrożonych odcinkach w chwili natarcia nieprzyjaciela. Nic dziwnego zatem, że kompania pozostawała w stałej gotowości bojowej, nasłuchując wiadomości o sytuacji z poszczególnych miejsc walki. A starcia z wrogiem zdarzały się coraz częściej i obejmowały obszar już niemal całej puszczy.

Brawura i pomysłowość żołnierzy Kampinosu nieraz dawały się boleśnie we znaki Niemcom. Oczywiście, nie zawsze partyzantom sprzyjało szczęście, choć także mieli wiele powodów do dumy. Jednym z nich było rozbitcie w rejonie Pociechy patrolu niemieckiego i zdobycie dwóch motocykli.

Czternastego września przyjechał do „Okonia”, wówczas dowódcy Zgrupowania, poprzedni dowódca Kampinosu – „Szymon”, który na skutek rany odniesionej w ataku na lotnisko bielańskie, przebywał dotychczas w szpitalu w Laskach. Przyjazd ten sprawił,



„Orliki” na kwaterze w Wierszach, fot. E. Widlicki

że zaczęły wśród żołnierzy krążyć pogłoski o planowanym wymarszu całego Zgrupowania na południe kraju: w Góry Świętokrzyskie lub na Śląsk.

Piętnastego września od rana panowało wielkie poruszenie wśród żołnierzy Kampinosu. Słychać było strzały i wybuchy granatów. Przed kwaterą „Orlików” przegalopował oddział kawaleryjski. Około południa dotarły wreszcie informacje, o tym, co się wydarzyło. Podobno podczas minowania przez saperów Kampinosu drogi z Palmir do Pociechy, niespodziewanie nadjechały dwa niemieckie samochody pancerne. Pierwszy z nich rozerwał się na minie, drugi zawrócił.

Szesnastego września „Lawa” przekazał swoim podkomendnym, prosząc o zachowanie tajemnicy, że w dowództwie miała miejsce odprawa, podczas której mjr „Okoń” przedstawił plan wymarszu. Potwierdziły się zatem wcześniejsze, nieoficjalne wieści, o zamiarze wymarszu i jego kierunku.

Siedemnastego września wzrosło napięcie w kompanii. Wszyscy czuli, że Niemcy coś szykują. Zdawali sobie sprawę, jak kiepsko, w porównaniu z przeciwnikiem, są uzbrojeni. Sytuację partyzan-



Kawalerzyści por. „Doliny”, drugi od prawej ich dowódca Adolf Pilch, fot. E. Widlicki

tów pogarszał fakt, że teren, na którym się znaleźli, został dobrze rozpoznany przez Niemców. Ich jedynym atutem była ruchliwość, szybkie przemieszczanie się w różnych kierunkach. Wymagałoby to jednak podzielenia się na małe oddziały. W tym samym czasie dotarła do nich wiadomość, że baon sochaczewski opuścił puszcę, wracając do konspiracji. Większość partyzantów uznała to za znak, że niebawem zmierzają się ze swoim przeznaczeniem.

Osiemnastego września, gdy leśni żołnierze kończyli obiad, nad Warszawę nadleciała wielka amerykańska eskadra samolotów. Był słoneczny dzień i znakomita widoczność. Samoloty leciały na wysokości kilku tysięcy metrów, ale nawet z takiego dystansu można było zobaczyć siedem kluczy po piętnaście ciężkich bombowców typu B-17, znanych jako „latające fortece”. Formacja znalazła się nad miastem i rozpoczął się ogromny zrzut spadochronowy. Nie można jednak było rozpoznać czy zrzucali ludzi, czy zasobniki z ładunkiem. Niestety, jedna maszyna została trafiona przez Niemców i żołnierze patrzyli ze ściśniętym sercem, jak spada. Z nasłuchu dowiedzieli się, że była to próba zaopatrzenia Powstania z powietrza. Niestety,

znaczna wysokość i brak większego obszaru, który znajdowałby się w rękach powstańców, sprawił, że 80 procent zasobników wpadło w ręce nieprzyjaciela.

Ranek dziewiętnastego września rozpoczął się artyleryjskim ostrzałem Wierszy i innych, zajętych przez partyzantów, wsi na terenie Kampinosu. Powtarzano też wiadomość, że we wschodnich rejonach polskich placówek widziano czołgi niemieckie.

Nawet jednak grad pocisków nie zdołał zahamować inwencji bojowej leśnych żołnierzy. W dowództwie zaś powstał plan, by wykorzystać zdobyte pod Pocięchą motocykle i mundury i w przebraniu niemieckiej żandarmerii polowej dokonywać wypadów na szosę. W ten nowatorski sposób można by zdobywać cenny sprzęt. Pomysł okazał się szczęśliwy i odtąd takie ekspedycje były z powodzeniem realizowane. Pierwsza z nich zorganizowana była jeszcze tego samego dnia. Wzięło w niej udział trzech partyzantów: por. „Lawa”, Lech Żabierek „Wulkan” i Leszek Chechliński „Lot”. Pojechali dużym motocyklem BMW-Sachara z przyczepą. Starannie skompletowano też ekwipunek niemiecki. Efekt był znakomity. Niejakie podejrzenia



„Orliki” spotykają konny patrol „Doliniaków”, fot. E. Widlicki

mógł jedynie budzić angielski rkm typu „bren”, trzymany przez siedzącego w przyczepie „Lawę”.

W godzinach popołudniowych przejechali trzykilometrowy odcinek szosy pomiędzy Zaborowem i Leszmem. Obie miejscowości były silnie obsadzone przez Niemców, a wzdłuż szosy ustawiono tablice ostrzegające przed partyzantami, zwłaszcza po zapadnięciu zmierzchu: „Achtung! Banditen fahr! Durchfahrt nur In Kolonnen. Mit Dämmerung Durchfahrt Verboten!”*

Motocykl był już na szosie, gdy z Leszna wyjechał tabor konny, który zatrzymał się uniemożliwiając naszym swobodną akcję. Zbliżyło się do nich dwóch oficerów SS i zaczęli pogawędkę. Na szczęście „Lot” dobrze władał językiem niemieckim, „Lawa” raczej słabo, udał więc, że drzemie siedząc w przyczepie. Niemców zainteresował nieznanym im typ karabinu maszynowego. Wreszcie tabor odjechał, a wraz z nim rozmowni esesmani.

Po chwili na szosie ukazała się oczekiwana okazja: motocykl z dwoma żołnierzami. Niemcy zostali zatrzymani i rozbrojeni. Nasi „rajdowcy” wrócili z wypadu późnym wieczorem. Jeńcy zostali przesłani do Wierszy, gdzie okazało się, że byli dobrymi fachowcami, zostali więc „zatrudnieni” w partyzanckich warsztatach samochodowych i rusznikarni. To właśnie oni nie tylko naprawili zdobyczne działko przeciwlotnicze, lecz także zamontowali je na samochodzie.

Następnego dnia, to jest 20 września, „Lawa” przygotował nowy wypad. Był to, można powiedzieć, daleki „zagon”: 32 kilometry w kierunku południowym. „Lawa” wybrał z plutonu trzydziestu możliwie sprawnych ludzi (stan zdrowia żołnierzy kompanii nie był dobry). Cała ta grupa, dobrze uzbrojona, wyruszyła o godzinie 18.00. W patrolu tym wzięli udział również „Gerwazy” i „Orlik”. Oddział ominął Zaborów, przez Pilaszków dotarł do majątku Wąsy, gdzie miały być przygotowane siodła dla mającego powstać zwiadu konnego.

Zbiegiem okoliczności, żołnierze uratowali majątek od napadu zwykłych bandziorów. Okazało się jednak, że obiecanych siodła nie było.

* Uwaga! Niebezpieczeństwo bandytów! Przejazd tylko w kolumnach. Przejazd po zmierzchu zabroniony!



„Orliki” w czasie służby w kuchni polowej. Z lewej stoi kucharz Andriej, Rosjanin zbiegły z niewoli niemieckiej, fot. E. Widlicki.

Wrócili zatem na szosę sochaczewską z zamiarem przechwycenia jakiegoś samochodu. Całonocne czekanie okazało się nadaremne. Zapewne był to skutek rozstawionych przy szosie niemieckich ostrzeżeń przed „bandytami”. „Lawa” jednak postanowił cierpliwie czekać.

Nazajutrz, 21 września od rana zajęli stanowisko przy bocznej drodze w odległości trzystu metrów od majątku Zaborówek. Dostali bowiem wiadomość, że ma tamtędy przechodzić silny oddział niemiecki. Czekali. Dopiero wieczorem, gdy ich zmęczenie i cierpliwość dobiegały kresu, pojawił się niemiecki zwiad w sile dwudziestu – trzydziestu kawalerzystów, zmierzający szosą do Leszna. „Lawa” spodziewał się, że będą wracać tą samą drogą, zorganizował więc zasadzkę. Rzeczywiście, już prawie o zmroku dostrzegli wracających Niemców. Partyzanci leżeli tuż przy szosie, na poboczu drogi. Pozwolili zbliżyć się zwiadowcom na odległość kilkunastu metrów. Dopiero wtedy Niemców ostrzelali i obrzucili granatami. Szczególnie skuteczny okazał się rzucony przez Kazimierza Lewackiego „Moskala” granat typu „gammon”. Zaskoczeni niespodziewanym atakiem

Niemcy rzucili się do ucieczki. Jak się okazało, rozbitý oddział składał się z Ukraińców. Partyzanci zdobyli jeden rosyjski rkm, siedem karabinów, pistolety maszynowe i dziewięć tak potrzebnych siodeł.

Jeden z zabitych na skutek eksplozji granatu, okazał się Niemcem, oficerem sztabowym. Znaleziona przy nim mapa, na której zaznaczono domniemane pozycje powstańcze oraz rozmieszczenie sił niemieckich w rejonie Puszczy Kampinoskiej okazała się cenną zdobyczą. Po tej potyczce „Moskał” zabrał na pamiątkę czapkę zabitego oficera niemieckiego.

Zaobserwowali jednak, że ludność cywilna, w obawie przed represjami, opuściła wieś. Potem dowiedzieli się, że rzeczywiście, Niemcy w następnych dniach spalili część Zaborówka.

Wieczorem oddział partyzancki powrócił bez strat do Wierszy.

Następnego dnia wieczorem czekała partyzantów niespodziewana atrakcja. W kinie, zaimprovizowanym na świeżym powietrzu, mogli obejrzeć kilka filmów. Okazało się, że kilka dni wcześniej podczas jednego z wypadów motocyklowych porucznika „Wulkan” został zdobyty samochód należący do organizacji K.D.F. (Kraft durch Freude)*, w którym znajdowało się kompletne wyposażenie kina polowego z własnym agregatem prądotwórczym, aparaturą



Żołnierze plutonu „Orlika” na drodze w Puszczy Kampinoskiej, fot. E. Widlicki

* Siła przez radość



W kolejce po obiad, fot. E. Widlicki

nagłaśniającą oraz filmy i płyty. Wzięto też do niewoli obsługę kinooperatorską. Tak powstało partyzanckie kino. Widzowie jednak byli rozczarowani ubogim i, oczywiście, propagandowym repertuarem. Oprócz kina w samochodzie znajdowało się dwadzieścia tysięcy papierosów oraz niemała liczba tomów „dzieła” wodza Trzeciej Rzeszy „Mein Kampf”. Portrety wyrwane z tych książek, przyozdobiły partyzanckie latryny. Niestety, gruby, kredowany papier nie nadawał się do celów higienicznych.

Dwudziestego września wszyscy żołnierze Kampinosu zostali zaszczepieni przeciw tyfusowi szczepionką otrzymana ze zrzutów. Była to akcja profilaktyczna, gdyż dotąd w placówkach nie było przypadku tej choroby. Bolączką leśnej armii natomiast były wszy i dolegliwości żołądkowe. Plaga insektów była zrozumiała w warunkach, w jakich przyszło im żyć, brak było elementarnych urządzeń higienicznych, pozwalających utrzymać codzienną schludność oraz zachować w czystości ubranie, zwłaszcza bieliznę osobistą.

Kuchnia polowa, której jadłospis uzależniony był od możliwości zdobycia jedzenia, nie była w stanie zapewnić prawidłowego żywienia.



Na kwaterze, fot. E. Widlicki

Nie bez znaczenia był także nastrój przygnębienia, jaki w tym czasie ogarnął leśnych żołnierzy, spowodowany wieściami o nieuchronnym upadku Powstania, braku nadziei na pomoc zachodnich aliantów oraz prognozy polityczne. W rozmowach coraz częściej, poruszano sprawę konieczności wymarszu z Kampinosu. Planowano zorganizowanie partyzantki w innej części kraju. Najczęściej wskazywano Góry Świętokrzyskie. Największy niepokój budziła jednak odległość, jaka dzieliła Puszcę Kampinoską od Gór Świętokrzyskich. W dodatku teren, przez który musieliby przejść, był słabo zalesiony, a zatem przemarsz po nim większych zgrupowań partyzanckich byłby niebezpieczny. Niektórzy, zwłaszcza zamieszkali w okolicach Warszawy, wolali wrócić do domów i do konspiracji. W gorszej sytuacji byli warszawiacy, którzy pozostawili rodziny, domy i być może wszystko stracili, ci przeżywali najtrudniejszy dylemat. Te pesymistyczne nastroje i niepokój były więc całkowicie uzasadnione.

Dwudziestego czwartego września „Lawa” postanowił zorganizować własny zwiad konny. Własnością plutonu było wtedy dwana-



Sanitariuszka Wacława Stelmachówna „Halina” myje rannego kpr. Leszka Chechlińskiego „Lota”, fot. E. Widlicki

ście siodeł. Sam „Lawa”, ale też niektórzy jego podkomendni, jak „George” i „Bob”, byli doskonałymi jeźdźcami.

Dwudziestego piątego września od rana słychać było odgłosy potyczek. Było oczywiste, że Niemcy starali się „wymacać” słabe miejsca obrony partyzantów. Nacierali małymi grupami, ale ze wszystkich stron. Coraz częściej pojawiały się też samoloty rozpoznawcze. Z poszczególnych placówek nadchodziły meldunki, że Niemcy wprowadzili do akcji samochody pancerne, a nawet czołgi.

Tymczasem w Warszawie dogasało Powstanie. Stało się pewne, że nadszedł czas, gdy Niemcy całą siłą uderzą na Kampinos. Byłaby to straszna siła, bo Niemcy oceniali liczebność oddziałów w puszczy na około dwadzieścia tysięcy ludzi.

Następnego dnia, 26 września, walki placówek partyzanckich trwały od samego rana. Saperzy zaminowali wszystkie drogi do warownego obozu partyzanckiego. Niebawem mieli się przekonać, że praca saperów nie była daremna. Jedno z aut pancernych wyleciało w powietrze. Ostrzał z każdą chwilą przybierał na sile, jednak ku



Wiersze, odpoczynek po ćwiczeniach. Pierwszy z prawej E. Widlicki „Leszek”,
fot. E. Widlicki.

zdziwieniu partyzantów, nieprzyjaciel nie zdecydował się wprowadzić do akcji czołgów.

Dwudziestego siódmego września leśną armię obudziły wybuchy pocisków artyleryjskich. Ogień natężał się z każdą chwilą. Najintensywniej ostrzeliwane były wsie, w których kwaterowali partyzanci: Krogulec, Truskawka oraz Wiersze. Nad głowami, na wysokości około ośmiuset metrów, pojawił się, dobrze już znany niemiecki samolot rozpoznawczy Fu-189, czyli tzw. „rama”. Mimo polecenia dowództwa, żeby nie strzelać do samolotu, nie wszyscy partyzanci respektowali rozkaz, bo słysząc było gdzieś pojedyncze strzały karabinowe.

W kompanii „Lawy”, w skład której wchodził pluton „Orlików”, zapanaował nastrój podniecenia i niepokoju. Ze wszystkich stron zaczęły dochodzić wieści o odpieranych przez partyzantów atakach przeciwnika: z Brzózki, Janówka, Pociechy, Zaborowa Leśnego i Łubca. Co prawda, Niemcy raczej prowadzili działania rozpoznawcze, choć czasem z udziałem broni pancernej. Stało się dla wszystkich



Ppor. „Orlik” z rkm „bren” na ćwiczeniach, fot. E. Widlicki

jasne, że akcje te poprzedzają generalny atak na Kampinos*. Mimo tego, życie na kwaterach toczyło się normalnie, podtrzymywane były wśród partyzantów pewne zwyczaje i tradycje.

Codzienna kanonada nie zdołała przeszkodzić jednej z sanitariuszek z kompanii „Lawy” w wyprawieniu przyjęcia imieninowego. Jej imieniny, a była to Wacława Stelmachówna „Narew”, wypadały co prawda dzień później, lecz z uwagi na niepewną sytuację urządziła je dzień wcześniej. Gdy część chłopców delektowała się smakiem świetnie przyrządzonych nóżek w galarecie, rozpoczęło się bombardowanie. Była 14.30, gdy nad Wiersze nadleciało osiem samolotów nurkujących Ju-87, zwanych „sztukasami”, które z lotu nurkowego

* Był to rzeczywiście początek akcji niemieckiej przeciw Zgrupowaniu Kampinos pod kryptonimem „Sternschnuppe”.



Kpr. pchor. Witold Szeronos „Wit” podczas ćwiczenia obsługi granatnika ppanc. „piat” Wiersze, 25 sierpnia 1944 r., fot. L. Gąszewski.

zaczęły zrzucać bomby. Pojawiły się też samoloty myśliwskie, które z broni pokładowej ostrzeliwały partyzantów. Pierwszy atak został skierowany na kwaterę dowództwa w Wierszach, radiostację i warsztaty. Wybór tych właśnie obiektów dowodził, że Szkopy podczas lotów zwiadowczych dobrze rozpoznali teren.

Pociski i bomby bezbłędnie trafiały w cel, wybuchały pożary, były ofiary w ludziach. Kwatera kompanii „Lawy” znajdowała się niespełna 150 metrów od siedziby dowództwa, więc ataki nurkowców żołnierze przeżywali tak, jakby były skierowane bezpośrednio na nią.

Spłonęła także ich stodoła, musieli, więc natychmiast wynieść z ognia kompanijny dobytek i broń. Wreszcie samoloty odleciały. Kompania nie poniosła żadnych strat w ludziach

Kolejny atak Niemcy skierowali na Brzózkę.

Po natarciu lotnictwa „Lawa” wydał rozkaz wycofania się ze wsi Wiersze, na południe do odległego o trzysta metrów lasu. Wśród drzew poczuli się bezpiecznie. Zapadał zmrok. Widoczne były pożary w Wierszach i innych wsiach. Słyszać też było odgłosy walki



Kancelaria dowództwa Grupy Kampinos. Od lewej: kpt. „Krzemień”, w głębi Stanisław Pilarski, Jadwiga Bałabuszko-Sławińska „Jadzia”. Pod ścianą widoczna aparatura radiostacji, wrzesień 1944 r., fot. L. Gąszewski

prowadzonej przez placówki. Coraz więcej partyzantów chroniło się w lesie. Na odprawie dowódców zapadła ostateczna decyzja wyjścia z Kampinosu marszem, w jednej kolumnie w kierunku lesistych gór Kielecczyny.

Leśni żołnierze zmuszeni zostali, co prawda, do opuszczenia miejsca swojego postoju, ale odchodzili z honorem. Zadali bowiem najpotężniejszej armii świata poważne straty. W 47 bitwach i potyczkach, które stoczyli od 29 lipca do 29 września 1944 roku, straty powstańców wynosiły 801 poległych i 493 rannych, zaś straty niemieckie 1288 zabitych i 464 rannych. Jeśli jednak wziąć pod uwagę dysproporcje uzbrojenia i wyposażenia, partyzanci mieli prawo do miana zwycięzców*.

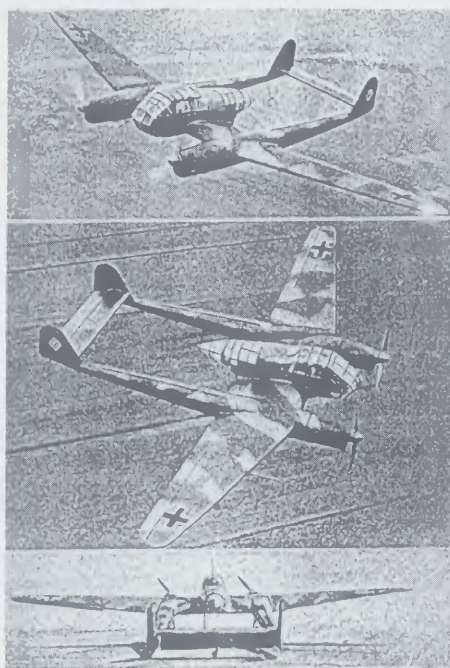
* Dane zaczerpnięte z książki Jerzego Koszady „AK Grupa Kampinos 1944”, Warszawa 1999 r.



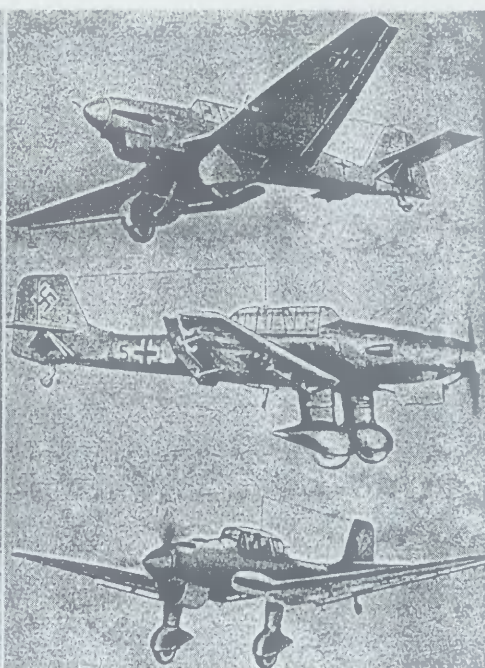
Sanitariuszka Maria Lipska „Maja” i strz. Eugeniusz Widlicki „Leszek”, autor większości zdjęć Zgrupowania Kampinos, fot. E. Widlicki



Przed wyruszeniem na wypad, for. E. Widlicki



Samolot rozpoznawczy FW-189, zwany „ramą”



Bombowiec „sztukas” – Junkers 87



Płonąca wieś Wiersze – baza Zgrupowania Kampinos, po niemieckim bombardowaniu lotniczym, 27 września 1944 r., fot. L. Gąszewski

VI

KIERUNEK: GÓRY ŚWIĘTOKRZYSKIE

W chwili wymarszu z Puszczy Kampinoskiej kompania „Lawy” liczyła około 80 dobrze uzbrojonych żołnierzy. Ich ekwipunek bojowy stanowiły 4 angielskie rkm typu „bren”, 2 talerzowe rosyjskie rkm, ponad 20 karabinów, 10 niemieckich pistoletów maszynowych oraz 35 angielskich typu „sten”, około 150 granatów różnego typu, ponad 600 tysięcy sztuk amunicji. Amunicję oraz wyposażenie wiozło pięć wozów. Mieli ponadto szesnaście koni, w tym pięć lub sześć wierzchowych. W Wierszach pozostawili swoją kuchnię polową. Do każdej drużyny był przydzielony jeden wóz konny. Stanowili czoło kolumny, poprzedzani przez szpicę konną.

Dwudziestego siódmego września 1944 r. Zgrupowanie Kampinos ostatecznie opuszczało Puszcę. Około godziny 22.00 uformowała się nieprawdopodobnie długa kolumna marszowa: około dwóch tysięcy ludzi i tabory liczące mniej więcej 350 wozów*.

Leśni żołnierze ruszyli w kierunku zachodnim, na Roztokę.

Dowództwo zamierzało jednym skokiem, w ciągu nocy, osiągnąć lasy położone na południe od Żyrardowa, to znaczy przejść około 40 kilometrów. Ze względu na około 3-kilometrową długość kolumny, marsz był bardzo powolny i zadanie okazało się niewykonalne.

Minęli Roztokę, po czym w okolicach leśniczówki Grabina skręcili w prawo i wyszli z lasu. Świtało, gdy przechodzili przez wieś Górki, znajdującą się w zachodniej części Puszczy Kampinoskiej.

Dwudziestego ósmego września rano, zatrzymali się w okolicy Górki – Zamość. Dzień był chłodny i padał drobny, zimny deszcz. Wszyscy marzyli, by wypić coś gorącego. I mimo wyraźnego zakazu rozniecania ognia, tu i ówdzie widać było dymy małych ognisk.

* Liczba żołnierzy w kolumnie, która opuściła Puszcę Kampinoską, maszerując w kierunku Żyrardowa, nigdy nie została dokładnie ustalona.



Przygotowania do wymarszu z Wierszy, fot. E. Widlicki

Okolo południa pojawil się nad lasem samolot rozpoznawczy. Z pewnošcią szukał partyzanckiego obozu. Nie trzeba było rozkazu, ogniska momentalnie zgasły.

Mimo zwiadu lotniczego, Niemcy ich nie odnaleźli. Dzięki temu mieli spokojny sen na biwaku. O godzinie 17.00 kolumna ruszyła w dalszą drogę. Straż przednią stanowił drugi i trzeci oddział kawalerii, za nią podążała kompania „Lawy” i kompania zrzutów. Z usytuowania na czole kolumny, żołnierze obu kampanii byli zadowoleni.

Po drodze do kompanii „Lawy” dołączyła sanitariuszka Zofia Piasecka „Wera” z batalionowego punktu sanitarnego przy dowództwie w Wierszach.

Okolo 20.00, a więc gdy było już ciemno, wyszli z lasów na otwarty teren. Okazało się, że we wsi Kampinos stacjonują oddziały niemieckie. Skierowali się zatem w lewo, drogą do Łubiec. Po prawej stronie, w kierunku południowym, rozciągały się podmokłe łąki, niemożliwe do przebycia. Jedyną drogą, jaka im pozostała, była wąska grobla przez bagna. To jednak jeszcze bardziej rozciągało i tak już nadmiernie długą kolumnę marszową.



Wymarsz z Puszczy Kampinoskiej, fot. E. Widlicki

Za bagnami wyszli na wieś Wróblowo. Droga, którą się posuwali, nie była im znana. Weszli w pagórkowaty teren, droga była wąska, piaszczysta, miejscami podmokła. Dla poruszających się w ciemności taborów, prowadzonych często przez mało wprawnych woźniców – była bardzo trudna. Mosty, przez które przyszło im przejeżdżać, nie wytrzymały ciężaru wyładowanych wozów i załamywały się pod nimi. Jeden z wozów, należący do drużyny podchorążego Bogusza Donaja „Macieja”, zaklinował się między dwoma rosnącymi obok siebie drzewami. Zanim „Maciejowi” udało się wydobyć go z pułapki, minęło go ze trzysta furmanek. Z trudem i tylko dlatego, że nastąpiła przerwa w marszu kolumny, „Maciejowi” udało się dogonić oddział za szosą Sochaczew – Błonie.

Drogę Leszno – Kampinos przekraczali pod słabym ogniem nieprzyjaciela. Nie zrobiło to jednak na partyzantach większego wrażenia i, co ważniejsze, nie spowodowało dezorganizacji. Dalszy marsz odbywał się w porządku i po godzinie kompania „Lawy”, a wraz z nią pluton „Orlików”, przekroczyła most na Utracie. Około godziny 23.00 usłyszeli nasilający się grzechot broni maszynowej i wybuchy gra-



Za nami zostały nasze niedawne kwatery, fot. E. Widlicki

natów. Oddziały idące na czele kolumny przekroczyły jednak Utrąte bez kłopotów. Dowiedzieli się potem, że przy przechodzeniu kolumny przez most miała miejsce potyczka z nieprzyjacielem. Dowodziło to, że w tyle kolumny dzieje się coś niedobrego. Zwłaszcza z prawej strony drogi widać było od czasu do czasu świetliste pociski, tzw. flary, które oświećlały nieprzyjacielowi cel, a potem słychać było strzały. Wielu żołnierzy przeszło na lewą stronę drogi, gdzie pod osłoną wozów czuli się bezpieczniej.

Szoseł sochaczewską także przekroczyli pod niewielkim ogniem. Doszli do biegnących tam torów kolejowych relacji Warszawa – Łowicz.

Dwudziestego dziewiątego września zbliżyli się nad ranem do linii kolejowej Warszawa – Koluszki. Otaczała ich bardzo gęsta, niska mgła. Znajdowali się między Baranowem a Budami Zosinymi, w otwartym polu, gdy dowództwo zarządziło przerwę w marszu. Brak jakiegokolwiek osłony, zbliżający się świt i bliskość torów, budziły zro-



Przemarsz taborów, fot. E. Widlicki

zumiały niepokój żołnierzy. W czasie narady, która odbyła się w grupie stanowiącej szpicę kolumny, dowódca Zgrupowania Kampinos, major „Okoń” podał do wiadomości, że trzeba maszerować dalej, by dojść do Lasów Radziejowskich. W spotkaniu tym wzięli udział „Lawa”, „George” oraz inni dowódcy. Większość sztabu uznała, że jeśli istnieje szansa przejścia przez tory kolejowe Warszawa – Kołuszki, to należy ten manewr wykonać natychmiast. Jednak „Lawa” oraz jeden z dowódców oddziału „Ostroga” byli zdania, że przejście biegnących po nasypie torów, przez nieruchawą, trzykilometrową kolumnę, w skład której wchodzi tabory z chłopskich furmanek, jest oczywistym samobójstwem. Próbowali więc nakłonić „Okonia” do rozczłonkowania kampinoskich oddziałów i taborów na mniejsze grupy. Tymczasem major Alfons Kotowski „Okoń”, wbrew opinii sztabu, wydał rozkaz postoju i odpoczynku. Zgodził się natomiast na oddzielenie się od kolumny kompanii „Lawy” i jej samodzielny marsz w Góry Świętokrzyskie, gdzie miało nastąpić połączenie się z resztą żołnierzy Kampinosu.



Pluton „Orlików” odpoczywa po całonocnym marszu, fot. E. Widlicki

Upór i arbitralność majora „Okonia” od dawna budziła niepokój podległych mu oficerów i ich uzasadniony lęk o losy Zgrupowania. O tym, jak poważne były to wątpliwości i brak zaufania do zdolności dowódczych mjra „Okonia” i jego decyzji, por./mjr Adolf Pilch „Góra”– „Dolina” pisał w swojej książce „Partyzanci trzech puszczy” na str. 212:

„W początku września stawiała się w mojej kwaterze grupa oficerów. Było ich w sumie około dziesięciu. Zwrócili się do mnie, prosząc o poufną rozmowę bez świadków.

(...)Wszyscy oficerowie byli bardzo oburzeni na brutalne zachowanie i postępowanie mjra »Okonia« wobec żołnierzy, którym często bez powodu ubliżał, gdy wpadł we wściekłość. Z reguły był nieopanowany i krzykliwy. Poza tym wszyscy oficerowie narzekali na jego brak fachowości w dowodzeniu. Pod tym względem, według opinii oficerów i żołnierzy, zdyskwalifikował się jako dowódca.

Po przedstawieniu całej sprawy oficerowie prosili mnie o cichą zgodę na zaplanowany przez nich krok, mający na celu usunięcie



Kompania Lotnicza zwija biwak leśny w rejonie Zamość i Górki przed udaniem się w Góry Świętokrzyskie, 28 września 1944 r., fot. E. Widlicki

»Okonia« ze stanowiska dowódcy oddziałów w Kampinosie. Zako-
munikowali mi wprost, iż w jaki sposób to uczynią, to już ich rzecz
i w każdym razie nikt poza nimi nie będzie o niczym wiedział. Na
ten krok byli już zdecydowani, chcieli uzyskać ode mnie tylko cichą
zgodę. Przeciwwstawiłem się temu projektowi i oświadczyłem, że
wolałbym tego od nich nigdy nie słyszeć. Na żadną, nawet cichą,
zgodę nie pójde. Przypomniałem, że jesteśmy zdyscyplinowanym
wojskiem i takim wojskiem musimy pozostać.

Najwyżej wolno starać się nam o zmianę, ale tylko drogą legalną.
O zmianie, w taki sposób, jak sobie zaplanowali, muszą zapomnieć,
ponieważ jest to niedopuszczalne. Na tym zakończyła się ta poufna
rozmowa z oficerami.”

Ów brak zdolności dowódczych majora „Okonia” ujawnił się
z całą ostrością, gdy wydał rozkaz zatrzymania się na odpoczynek
na otwartej przestrzeni, mając przed sobą tory kolejowe, a za sobą
ścigającego nieprzyjaciela, którego celem było zamknięcie kolumny



Wymarsz Zgrupowania Kampinos w Góry Świętokrzyskie. Przy wozie idą: pierwszy z prawej Andrzej Szulczyński „Sęp”, Jan Ankowicz „Czyżyk”, (w hełmie) Jan Makowski „Orzeł”, fot. E. Widlicki.

maszerujących partyzantów w kotle. Tragedię dopełnił wjazd na tory dwóch pociągów pancernych.

Zgrupowanie znalazło się pod ogniem karabinów maszynowych. Major „Okoń” mógł jeszcze wówczas wydać rozkaz wysadzenia torów. Niestety, zaniechał tego. Skutki jego decyzji dla Zgrupowania były tragiczne. Zagładzie uległ pułk „Palmiry – Młociny”, poległo stu siedemdziesięciu partyzantów, około dwustu zostało rannych i tyluż dostało się do niewoli. Poległ także major Alfons Kotowski „Okoń”.

Z kotła, w którym znaleźli się kampinoscy partyzanci, jedynie tak znakomitemu dowódcy, jak por./mjr Adolf Pilch udało się wyprowadzić około dwustu żołnierzy.

Kompania „Lawa”, a wraz z nią pluton „Orlików”, po oddzieleniu się od kolumny, zatrzymała się na postój we wsi Rozłogi. Rankiem 29 września 1944 roku porucznik „Lawa” przeprowadził reorganizację swej kompanii. Zredukował kompanijny tabor. Miejscowej placówce AK zostawił dwa wozy, bryczkę i mało sprawną broń sowieckiej produkcji: dwa erkaemy, trzydzieści dwa karabiny, pistolet maszynowy



Kpr. Stefan Buszyński „Bez” i strz. Jerzy Ankowicz „Czyżyk” na ubezpieczeniu Kompanii Lotniczej, która schroniła się w niedużym lasku. Rozłogi pod Grodziskiem, 29 września 1944 r., fot. E. Widlicki.

i część amunicji. Z oddziału odeszli chorzy. Innym pozostawiono wolny wybór: dalszy marsz w Góry Świętokrzyskie lub powrót do domu i konspiracji. Kompanię „Lawy” opuściło kilku żołnierzy. Z plutonu „Orlików” odeszli: Mieczysław Groblewski „Karaś”, Józef Jerzak „Sum”, Włodzimierz Rejmer „Lolek”, Jan Szpotowicz „Kret”, Andrzej Szulczyński „Sęp”, Piotr Śliwowski „Orkan”, Eugeniusz Widlicki „Leszek” oraz sanitariuszka Bogumiła Bareńska – Przeorska „Wista”.

Po tych zmianach oddział „Lawy” liczył około 50 ludzi, w tym około 20 z plutonu „Orlika”. W skład oddziału wchodziło też kilku konnych. Oddział, jak na ówczesne warunki, był dobrze uzbrojony; na dziesięcioosobową drużynę przypadało: 1 ręczny karabin maszynowy, 6 pistoletów maszynowych i 4 karabiny. Prawie wszyscy żołnierze mieli pistolety.

W dalszą drogę zabrali ze sobą tylko wozy ogumione, 50 tysięcy sztuk amunicji, granaty, radio, zestaw sanitarny i konserwy. Po naradzie powzięli decyzję dalszego marszu w Góry Świętokrzyskie, co było zgodne z rozkazem majora „Okonia”



Odpoczynek po nocnym marszu, 29 września 1944 r., fot. E. Widlicki

Wymarsz nastąpił o 20.30. Noc była bardzo jasna. Świadomi, że w każdej chwili mogą zostać „namierzeni” przez Niemców, poruszali się ostrożnie. „Lawa”, jak zwykle, prowadził pewnie i bezpiecznie. Tradycyjnie, wraz z „Gerwazym” szedł na przedzie w ubezpieczeniu oddziału. Koło miejscowości Kozery przekroczyli tory kolejowe. Ubezpieczał ich kapral „Bohun” uzbrojony w rkm.

Trzydziestego września przed świtem dotarli do Lasów Skulskich. Za sobą mieli dwie noce i dzień bez odpoczynku. Byli fizycznie i psychicznie zmęczeni wydarzeniami ostatnich tygodni i miesięcy, nic zatem dziwnego, że odpoczywali cały dzień. Na noc udali się do miejscowej gajówki.

Dzień 1 października spędzili w lesie, gdzie czekała jakże upragniona niespodzianka: możliwość kąpieli w leśnym stawie. Tak dawno nie mieli okazji zmycia kurzu, który przyłgnał do nich podczas wędrówki. Błogosławiąc dostęp do wody uprali także bieliznę. To był szczęśliwy dzień, na wieczór byli zaproszeni na prawdziwą kolację do majątku Grzegorzewice. W dodatku, za zgodą właściciela wymienili kilka bardzo zmęczonych koni. Wieczorem kompania wyma-

szerowała w dalszą drogę. Szli w strugach deszczu, który właśnie zaczął padać.

Drugiego października, po niezbyt długim nocnym marszu zatrzymali się we wsi Budy Dachowskie. Od miejscowych dowiedzieli się, że dzień wcześniej przechodził tamtędy oddział kawaleryjski „Doliny”^{*}. Była też gorsza wiadomość: Niemcy szykują się do przeprowadzenia w okolicznych lasach obławy. „Lawa” zatem postanowił dogonić „Dolinę”, którego konnica znacznie wzmocniłaby siłę bojową kompanii. Zdawali też sobie sprawę, że oddział kawaleryjski posuwa się dużo szybciej niż piechurzy. Chcąc zwiększyć szansę spotkania, postanowili zdobyć dobre podwody, co udało się zorganizować bez trudu. Od miejscowej komórki AK dostali przewodnika, co oszczędziło im błędzenia. W drogę wyruszyli stosunkowo wcześniej, jeszcze przed wieczorem. Szli dość szybko w kierunku Pilicy. Podczas tego marszu dołączyło do nich trzech żołnierzy z oddziału „Doliny”, którzy stracili łączność ze swoimi podczas przebijania się przez tory pod Żyrardowem i teraz chcieli dołączyć do własnego oddziału. W ciągu nocnego marszu kompanii udało się przebyć około 45 kilometrów.

Rankiem trzeciego października zatrzymali się we wsi Bujały nad Pilicą. Wydawało się, że zamiar „Lawy” przyłączenia się jego kompanii do oddziału „Doliny” ma szansę powodzenia, kawalerzyści byli po przeciwnej stronie Pilicy. Udało się nawet nawiązać z nimi kontakt przez miejscową komórkę AK. „Lawiacy” jednak musieli przeprowić się przez rzekę. Dowiedzieli się, że w Domaniowicach czynny jest prom, który mógłby przeprowić kompanię na drugi brzeg. Nie tracąc czasu ruszyli w kierunku przeprawy. Po drodze zatrzymali się w majątku, gdzie spotkali się z serdecznym przyjęciem i obfitym poczęstunkiem. Zostali też zaopatrzeni w papierosy, spirytus i mnóstwo jedzenia. Odesłali też podwody, które nie były ich w stanie dowieźć do przeprawy i pobrali nowe.

Wyruszyli późnym popołudniem. Jechali na wozach czując się nieco ociężałe z przejeżdżenia. W niewielkiej odległości od miejsca, gdzie znajdowała się przeprawa promowa, gdy było już ciemno, niemal wprost na kolumnę „Lawiaków” wjechał sznur niemieckich

^{*} Kawaleria porucznika „Doliny” była jedynym oddziałem Zgrupowania Kampinos, któremu udało się bez większych strat przebić przez tory pod Żyrardowem.

pojazdów wojskowych. Prawdopodobnie był to oddział wysłany na akcję przeciw partyzantom „Doliny”. „Lawiakom” zaś nie pozostało nic innego, jak możliwie najszybciej i najciszej zawrócić. Pozostaje jednak wciąż zagadką, jakim cudem Niemcy ich nie zauważyli?

Kilka kilometrów dalej w górę rzeki, w miejscowości Gapinin, znaleźli inny prom. Odesłano więc zbędne już podwozy zabrane ze wsi Bujały. Pozostawili tylko wozy amunicyjne.

Przeprawa kompanii rozpoczęła się pod osłoną zmroku. Jako pierwszy na koniu przeprowadził się na drugi brzeg „Bob”, który sprowadził przewoźnika. Pierwszy wóz z porucznikiem „Domkiem”, kapralem „Bohunem” oraz kapralem „Wackiem” przepłynął promem bez problemów. Na drugim brzegu mieli oni ubezpieczać oddział.

Podczas przeprawy drugiego wozu kopyto konia tak uszkodziło podłogę promu, że nie nadawał się on już do użytku. Postanowili więc wozem zaprzężonym w owego pechowego konia przejechać rzekę wplaw. Niestety, w połowie szerokości koryta woda zmyła część ładunku. Wóz jednak udało się przeprowadzić na drugi brzeg. Tymczasem patrol konny szukał brodu, którym można by przejechać rzekę ostatnim wozem. Reszta oddziału miała przeprowadzić się przez Pilicę konno. W tym celu zrobiono prowizoryczne juki. Wreszcie znaleziono bród, podchorąży „George” przejechał rzekę wozem, z którego dla pewności zdjęto część ładunku.

O godzinie 5.00 rano cały oddział znalazł się na prawym brzegu Pilicy. W trakcie przeprawy stracili jednak około 3 tysięcy sztuk amunicji i kilka plecaków. Najgorsze jednak było to, że przedłużająca się prawie do świtu przeprawa udaremniła spotkanie i połączenie kompanii „Lawy” z oddziałem porucznika „Doliny” w Lasach Brudzewickich.

Czwartego października rano, po nocnej kąpieli w zimnych wodach Pilicy, żołnierze byli bardzo zmęczeni, przemoczeni i zziębnięci. W dodatku dzień był zimny i śniżył drobny deszcz. Spirytus, ofiarowany im w majątku Grzegorzewice tuż przed przeprawą, okazał się wyprawieniem. Rozgrzani nim, pospiesznie skryli się w pobliskim lesie. Nareszcie poczuli się bezpiecznie, więc mimo zimna i mokrych ubrań nastroje poprawiły się wyraźnie. „Lawa” pochwalił „Boba”, „Wieśka”

i „Moskala” za ich wysiłek w czasie tej niełatwej przeprawy. Nie tracili też nadziei, że odnajdą oddział „Doliny”, maszerowali więc szybko, chcąc jednocześnie odejść jak najdalej od miejsca przeprawy.

O godzinie 9.00 dotarli na skraj Lasów Brudzewickich. Dla rozpoznania terenu, nawiązania kontaktu z miejscową komórką AK i zdobycia żywności „Lawa” wysłał patrol, uformowany głównie z żołnierzy plutonu „Orlików”. Pod dowództwem pchor. Kazimierza Stycznia „Smugi” wyruszyli na patrol: Czesław Stańczyk „Bohun”, Zbigniew Porczyński „Józek”, Kazimierz Radwański „Górski”, Ryszard Kamiński „Włodek” oraz Jędrzej Rejmer „Stefania”.

VII

OSTATNIA BITWA POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

Po odejściu patrolu w kierunku wsi, oddział wkroczył w środek Brudzewickich Lasów. „Lawa” zarządził postój. Aby ułatwić powracającemu patrolowi odnalezienie miejsca biwaku, na skraj lasu wysłał jako łącznika Antoniego Makowskiego „Gerwazego”.

Żołnierze mogli wreszcie odpocząć, a przede wszystkim przesunąć ubrania. Nieśmiało zapłonęły wątle ogniska, przy których rozwiesili płaszcze, kurtki, skarpety, i inne części garderoby. Wszystko było tak przemoczone, że woda ściekała strumieniami.

Około godziny 10.00 leśniczy przyniósł alarmującą wiadomość: poprzedniego dnia „Dolina” w starciu z Niemcami rozbił dwa pojazdy mechaniczne. Nieprzyjaciel zorganizował odwet, ale „Dolina” w porę wycofał się z rejonu zagrożenia. Niestety, kompania „Lawy”, weszła w sam środek matni. W tym czasie las otaczało około 2500 żandarmów i żołnierzy, wspieranych przez samochody pancerne. Zgasły ogniska, a wraz z nimi nadzieja na wysuszenie partyzanckiej garderoby. O wymknięciu się z okrążenia w biały dzień nie było co marzyć. Patrol wysłany na rekonesans jeszcze nie powrócił. „Lawa” dysponował więc oddziałem liczącym czterdzieści – czterdzieści pięć osób. Co to znaczyło wobec sił wroga?

Kompania weszła w głąb lasu, aby znaleźć lepsze miejsce dla obrony. Nie było łatwo bo las rzadki i bez poszycia. W końcu znaleźli niewielkie, zarośnięte wzgórze, w odległości około 300 metrów od miejsca, gdzie w porośniętej krzakami kotlinie ukryli swój tabor, składający się z trzech wozów i szesnastu koni.

Zabrali ze sobą jedynie plecaki z amunicją i granatami, reszta dobytku została na wozach.

Kompania zajęła stanowisko obronne w promieniu 20 metrów wokół pagórka. Było koło jedenastej przed południem. Oczekiwali na nieprzyjaciela. Wiedzieli, że las jest dokładnie przeszukiwany,



Krzyż w miejscu bitwy kompanii por. „Lawy” i plutonu ppor. „Orlika”, stoczonej z Niemcami w Lasach Brudzewickich 4 października 1944 r., fot. Z. Zaborski

zwłaszcza zarośla i domyślali się, że nieprzyjaciel odnalazł w krzakach ich tabor. Była to dla nich niepowetowana strata.

Wkrótce ujrzeli niemiecką tyralierę, liczącą 20 – 30 żołnierzy, idącą z północy, skośnie w stosunku do ich pozycji na wzgórzu. Oznaczało to, że nieprzyjaciel nie zna jeszcze polskich pozycji. Partyzanci „podpuścili” ich na jakieś czterdzieści metrów i otworzyli ogień. Niemcy rzucili się do ucieczki, kilku padło. Ogień niemiecki narastał. Niemcy rozpoznali już stanowiska partyzanckie i strzelali w ich kierunku. Co gorsza, do ognia z broni maszynowej dołączyły się granatniki, których pociski padały celnie. Ranni zostali porucznik „Domek” i sanitariuszka „Narew”.

Nieprzyjaciel poderwał się do drugiego natarcia, wołając:

– Die Kinder, die Buben, Waffe ab!* I to natarcie załamało się w ogniu obrony. Niemcy bezustannie ponawiali ataki na wzgórze. Dopiero pod wieczór nastąpiła przerwa. Nie ustawał natomiast ostrzał z granatników, który powodował dalsze straty. Niemcy, by lepiej rozpoznać polskie pozycje, próbowali wspinać się na drzewa. Dwóch zdjął z erkaemu kpr. Stefan Zawiślak „Zacny”. Nieprzyja-

* – Dzieciaci, łobuzy! Rzućcie broń!

ciel szykował kolejne natarcie, znacznie nasilił się ogień, na 150 metrów od powstańczych pozycji podjechał samochód pancerny, strzelając z działka. Mimo to wszyscy mieli nadzieję, że wytrzymają do zmroku.

Niemieckie natarcie podeszło już bardzo blisko. Nieprzyjaciel co chwila wzywał do poddania się, ale pod ogniem Polaków zmuszony był wycofywać się. Po stronie partyzantów przybyło dwóch rannych.

Przed zmrokiem nieprzyjaciel podjął ostatnie natarcie. Partyzanci nie zareagowali. Niemcy, przypuszczając zapewne, że wystrzelali atakowanych, śmiało ruszyli do przodu. Polacy pozwolili im podejść bardzo blisko, dopiero, gdy byli jakieś dwadzieścia metrów od polskich pozycji, kpr. „Robaczek” ogniem z erkaemu położył sześciu. Natarcie wycofało się pospiesznie.

Wreszcie zapadł upragniony zmrok. Partyzanci byli ocaleni. Ponieśli jednak bolesne straty. Zginął jeden z żołnierzy „Doliny”, było wielu rannych: ich dowódca „Lawa” odniósł ciężką ranę nogi, kpr. Leszek Chechliński „Lot” był ranny w pierś, Witold Szeronos „Wit” miał przestrzelone płuco, sanitariuszka Wacława Stelmachówna została bardzo ciężko ranna w udo i miednicę, por. Stefan Iwanowski „Domek” ranny w nogę, kpr. Stanisław Jarkowski „Kazik” raniony w głowę w okolicę oka. Inny żołnierz „Doliny”, który odniósł ciężką ranę w brzuch, odłamkiem z pocisku granatnika, zdając sobie sprawę z beznadziejności swego położenia, odebrał sobie życie. Przed strzałem, zawołał jeszcze:

– Niech żyje Polska!

Wszystkim rannym ofiarnie starała się pomóc sanitariuszka Zofia Piasecka „Wera”.

Z nadejściem zbawczego zmroku partyzanci zaczęli przygotowywać się do opuszczenia swoich stanowisk. Na końcu wycofali się żołnierze lewego skrzydła. Część lżej rannych szła o własnych siłach. Na czele oddziału szedł ogn. „George”, niemal niosąc porucznika „Lawę”, który z największym wysiłkiem starał się opierać na zdrowej nodze. Inni ranni, jak kpr. „Wit” i sanitariuszka „Narew” ledwie wlekli się wsparci na ramionach kolegów. Kolumnę zamykał pluton ppor. „Orlika”. Przedzieranie się przez zarośla i wykroty dla

rannych stanowiło dodatkową udrękę. Wreszcie dotarli na otwarte pole. Tam z kolei grzęźli w rozmokłej glebie, bo akurat zaczął padać deszcz. Znosili to jednak mężnie, bo męczarnia pochodtu nie miała znaczenia wobec faktu, że ocaleli. Po raz kolejny Niemcy nie zauważyli, że się wycofują; byli raczej przekonani, że partyzanci pozostają nadal w swych szańcach. Potwierdzeniem zaś tego były wciąż dochodzące do nich odgłosy ostrzału ich domniemanych pozycji.

Niestety, nie wszyscy ranni opuścili miejsce walki. Porucznik Stefan Iwanowski „Domek”, podobnie jak ów żołnierz z oddziału „Doliny”, odebrał sobie życie*.

Na polu bitwy pozostało też trzech Rosjan i dwóch polskich żołnierzy, wśród nich Władysław Maciejczak „Lwowski”, Andriej – kucharz i sierżant szef kompanii, którzy wpadli w ręce Wehrmachtu**. Zginął także w niewyjaśnionych okolicznościach Zbigniew Łoziński „Maks”.

Leśni żołnierze posuwali się w kierunku południowym. Tak dotarli do młyna w Radzicach. Mieli szczęście, bo młyn jeszcze pracował a ludzie, których tam zastali, udzielili im pomocy. Otrzymali dwa wozy, na których umieścili rannych. Ruszyli do pobliskiej gajówki. Tam ciężko ranni zostali prowizorycznie opatrzeni.

Jak to się stało, że oddział liczący niespełna 50 ludzi był w stanie przez kilka godzin opierać się przeważającym siłom nieprzyjaciela, szacowanym na około 2500 żołnierzy, a ponadto wyjść z okrążenia?

Prawdopodobnie stało się tak dlatego, że Niemcy brali ich za oddział „Doliny”, który szacowali na 500 ludzi lub co najmniej duży oddział partyzancki. Mogła ich w tym utwierdzać duża ruchliwość

* Zaraz po wojnie w miejscu stoczony bitwy Zarząd Lasów postawił na mogile dwóch poległych partyzantów krzyż, ogrodzony barierką ze sztachetek. Ciało pochowanego tam por. Stefana Iwanowskiego odnalazła żona i po ekshumacji przewiozła do Warszawy. Porucznik Stefan Iwanowski spoczywa na Cmentarzu Powstańców Warszawy na Woli..

** Plutonowy Władysław Maciejczak „Lwowski” oraz Rosjanin Andriej wzięci do niewoli przez żołnierzy Wehrmachtu, zostali wraz z innymi odwiezieni do więzienia w Radomiu i oddani w ręce gestapo. Wszyscy mieli zostać rozstrzelani. Jednak w ostatniej chwili przyszła wiadomość, że żołnierzy AK uznano za kombatantów, a więc muszą być traktowani jak jeńcy wojenni. Andrieja i dwóch innych Rosjan rozstrzelano. Plutonowy Wł. Maciejczak, z kompanii „Lawy”, po trzech tygodniach śledztwa został wysłany do obozu koncentracyjnego w Gross-Rosen, gdzie doczekał się wyzwolenia.

patrolu dowodzonego przez pchor. „Smugę”, który usiłując połączyć się z główną siłą leśnej armii, dawał złudzenie, że oddział stanowi większą siłę niż był w rzeczywistości i że pod jego kontrolą znajduje się większy obszar lasu. W tym przekonaniu o dużej sile oddziału zapewne utwierdził Niemców duży tabor, który w pierwszej fazie bitwy dostał się w ich ręce. Niemalą rolę odegrała też duża skuteczność i siła ognia, jaki partyzanci skierowali na szturmujących. Faktem jest także i to że broń, którą dysponował oddział „Lawy” była w bardzo dobrym stanie technicznym, nie zaciniała się. W dodatku oddział skutecznie odpierał ataki niemieckie aż do wieczora, kiedy to przyjazny partyzantom zmrok pozwolił im przejść przez pierścień obławy nieprzyjacielskiej.

Piątego października nad ranem z gajówki i okolicznych gospodarstw zebrali tyle wozów, aby każdy żołnierz znalazł dla siebie miejsce. Ruszyli drogą na południe, aby jak najdalej od obławy. Stan zdrowia por. „Lawy” nie pozwalał mu na samodzielne poruszanie się na czele oddziału. Funkcję tę przejął ppor. „Orlik”, który ze swym oddziałem jechał jako ubezpieczenie, na pierwszych wozach. Było już jasno, gdy wyszli z rejonu lasu i przybyli do wsi Brzozy. Mapy, które posiadali, już nie obejmowały tamtego terenu, zatem dalej szli kierując się wskazówkami mieszkańców. Oddział był teraz mały, bo pozbawiony taborów i koni. Istotnym problemem była sprawa pomocy medycznej dla rannych kolegów, którzy nie mogli dłużej pozostać w oddziale.

Po dwudziestu kilometrach wędrówki doszli do wsi Mroczków Ślepy.

Pozostawili tam siostrę „Narew” pod opieką miejscowego rolnika, zapewniając jej dokumenty i cywilne ubranie*. Oddział zaś z pozostałymi rannymi udał się dalej do wsi Adamów, gdzie zatrzymali się na postój. Ubezpieczały ich czujki zorganizowane z własnych żołnierzy oraz ludności miejscowej. Tam wreszcie, po czterdziestu godzinach

* Pobyt rannej Wacławy Stelmachówny „Narwi” we wsi Mroczków Ślepy okazał się niebezpieczny. Istniało niebezpieczeństwo, iż podczas załatwiania formalności meldunkowych mogła nastąpić jej denuncjacja Niemcom. Z opresji wybawił siostrę „Narew” przebywający właśnie w okolicy oddział AK porucznika „Henryka”. Żołnierze tego oddziału zabrali ją i przewieźli w bezpieczne miejsce.



Las pod Brudzewicami, miejsce, gdzie pochowani zostali dwaj żołnierze Armii Krajowej z kompanii „Lawy”, fot. Z. Zaborski

przymusowego postu, zjedli śniadanie: każdy dostał kubek mleka i pajdę chleba z jajecznicą.

Poprawiła się pogoda, na niebie pokazało się słońce i żołnierze po raz pierwszy od przeprawy przez Pilicę mogli przesuszyć ubrania. Mieli też okazję umyć się i wyspać, z czego skwapliwie skorzystali. Spędzenie nocy w Adamowie wydawało się stosunkowo bezpieczne, więc mogli spokojnie odpoczywać.

Szóstego października nawiązany został kontakt z organizacją AK w Gowarczewie. Kompania uzgodniła z nimi pozostawienie na ich terenie, pod opieką lekarską, ciężko rannych kolegów. Wieczorem ruszyli wraz z rannymi na wozach do wsi Budy. Dopiero tam ranni partyzanci zostali przekazani we właściwe ręce. Od okolicznych mieszkańców, z niemałą satysfakcją, dowiedzieli się, że straty nie-

mieckie w Brudzewickim Lesie szacowane są na sześćdziesięciu – osiemdziesięciu poległych żołnierzy. Była to od wielu dni pierwsza pogodna noc. Świecił księżyc, ale było dość zimno. Rannego „Lawę” wieźli na wozie. Pragnęli dotrzeć do Lasów Radomskich. Następnego dnia, to jest siódmego października, minęli wieś Kolonia Szczerbacka.

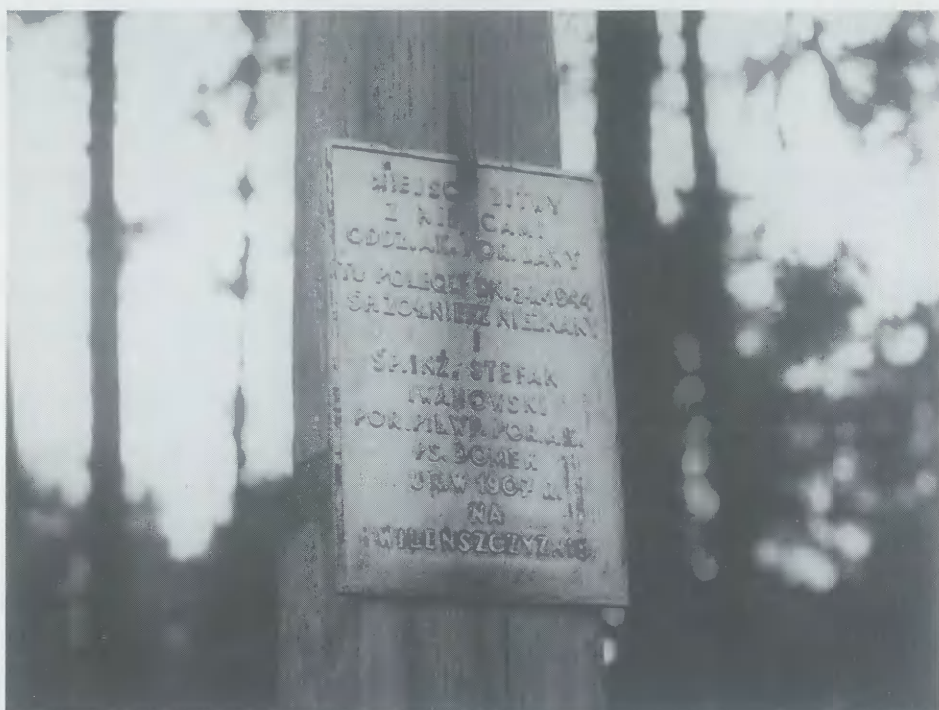
Wkraczali w pagórkowaty, miejscami prawie podgórski krajobraz. I tam nastąpiło zdarzenie jak z dobrej bajki: we wsi Rajski Bród spotkali zaginiony patrol podchorążego „Smugi” w pełnym składzie; wszyscy cali i zdrowi.

Dopiero wtedy dowiedzieli się, jakie koleje losu przechodził ów patrol wysłany na zwiad przed bitwą brudzewicką. Otóż po opuszczeniu głównego oddziału patrol doszedł do pobliskiej wsi, gdzie zauważył niepokojąco duży ruch na przechodzącej opodal szosie. Cała kolumna samochodów wypełnionych wojskiem niemieckim kierowała się w stronę lasów. Patrol natychmiast zmienił kierunek marszu, aby połączyć się z kompanią i ostrzec ją przed zbliżającym się niebezpieczeństwem. Na skraju lasu spotkali łącznika „Gerwazego”, który miał im wskazać miejsce postoju oddziału. Gdy jednak przybyli na miejsce wskazane przez łącznika, oddziału już tam nie zastali. Postanowili więc udać się do leśniczówki.

Niestety, leśniczówkę zajęli Niemcy. Uratował ich fakt, że dwóch z nich miało na sobie zdobyczne mundury niemieckie, inni czapki tego samego pochodzenia albo bluzy. Ich widok zaskoczył Niemców, którzy przez chwilę wzięli ich za swoich żołnierzy. Ta chwila jednak wystarczyła partyzantom, by pośpiesznie wycofać się do lasu, zanim Niemcy zorientowali się w sytuacji.

Patrol, błędząc po lesie w poszukiwaniu swoich, usłyszał wkrótce gwałtowną strzelaninę. Żołnierze patrolu domyślili się, że są to odgłosy toczonej bitwy, jednak nie mogli dołączyć do kompanii, ponieważ liczne grupy niemieckie gruntownie przetrząsały las. Podjęcie walki przez tak małą grupkę było bezcelowe.

Kluczyli więc po lesie z nadzieją, że uda im się nawiązać kontakt z główną siłą walczącej kompanii. Wielokrotnie jednak dostrzegali Niemców, którzy ich nie zauważali lub nie chcieli wszczynać walki z partyzantami. Ta gra trwała jakiś czas, aż wreszcie patrol zaszył



Napis na krzyżu w Brudzewickim Lesie: „Miejsce bitwy z Niemcami oddziału porucznika »Lawy«; Tu polegli dn. 3 października 1944 r. Żołnierz Nieznany i s.p. inż. Stefan Iwanowski por. pil. WP, por. AK »Domek« urodzony w r. 1907 na Wileńszczyźnie”, fot. Z. Zaborski

się w małym, sosnowym młodniaku, gdzie postanowił doczekać zmierzchu. Po zmroku strzały ucichły.

Żołnierze z patrolu nie wiedzieli oczywiście, jaki był wynik bitwy, nie znali losów swojej kompanii. Postanowili więc na własną rękę kontynuować marsz w kierunku Gór Świętokrzyskich. Nocą patrol dotarł do gajówki, gdzie dowiedział się, że oddział „Lawy” wydostał się z okrażeń i idzie na południe.

W nieznanym terenie, bez map, istniało duże prawdopodobieństwo natknięcia się na Niemców, dlatego gajowy skontaktował żołnierzy z patrolu z łącznikiem miejscowej placówki AK. Ten, po wyprowadzeniu ich z lasów, przekazywał ich następnemu i tak systemem łańcuszkowym od wioski do wioski. Po trzech dniach intensywnych

nocnych marszów patrol w Rajskim Brodzie dołączył wreszcie do kompanii i razem powędrowali na południe.

Dalszy przebieg marszów relacjonujemy na podstawie wspomnień Tadeusza Bobrowskiego „Witezia”:

„Jechałem na wozie, zacząłem bowiem odczuwać coraz do-
tkliwszy ból w kolanie, przez co nie mogłem iść pieszo. Czułem
też, że mam gorączkę. W pewnym momencie wozy natknęły się
na czujki.

– Stój, bo strzelam! – usłyszeliśmy znenacka wezwanie.

Okazało się, że był to oddział porucznika Antoniego Hedy »Sza-
rego«, a więc byli to swoi. Dotarliśmy do wsi Huciska, gdzie dołączy-
liśmy do 72 pułku Ziemi Radomskiej. Marzyliśmy o dalszej walce, bo
mówiono nam, że tu – w górach – będą zrzuć, że przylecą alianci
z pomocą, dostaniemy nową broń, że uderzymy na Niemców. Ra-
domiacy podziwiali nasze dobre uzbrojenie.

Dowiedzieliśmy się od nich, że oddziały miejscowe, wobec nad-
chodzącej zimy, demobilizują się. W lesie ma zostać tylko niewielki
oddział, a przybysze z Warszawy mają wrócić do domu.”

Noc 8 października kompania „Lawy” przesiedziała w zgrupo-
waniu radomskim.

Po naradzie z dowódcami plutonów „Lawa” doszedł do wniosku,
że jako oddział warszawski, kompania wykonała swe zadanie. Brak
było perspektywy dalszej walki partyzanckiej. Powrót do konspiracji
też nie był łatwy. Poważnym problemem był brak cywilnych ubrań
oraz niemożność znalezienia dla partyzantów oparcia w pobliskim
teren, co dotyczyło większości żołnierzy.

Zapadła decyzja podzielenia resztek kompanii na cztery grupy:
pluton „Orlików” ma bazę w Pruszkowie, wraca tam zatem z bronią
i w mundurach z zamiarem powrotu do konspiracji. Podporucznik
„George” z resztkami pierwszego plutonu, tego który wyszedł z War-
szawy, idzie w rejon Nowego Miasta, gdzie „George” ma rodzinę
w okolicznych majątkach, mogącą mu pomóc w wyleczeniu nogi.
Stan jego nogi budził niepokój.

Żołnierze 72 pułku dostali od kompanii „Lawy” 4 erkaemy, 6 pi-
stoletów maszynowych i 10 karabinów. W zamian kompania dostała
5 tysięcy złotych.

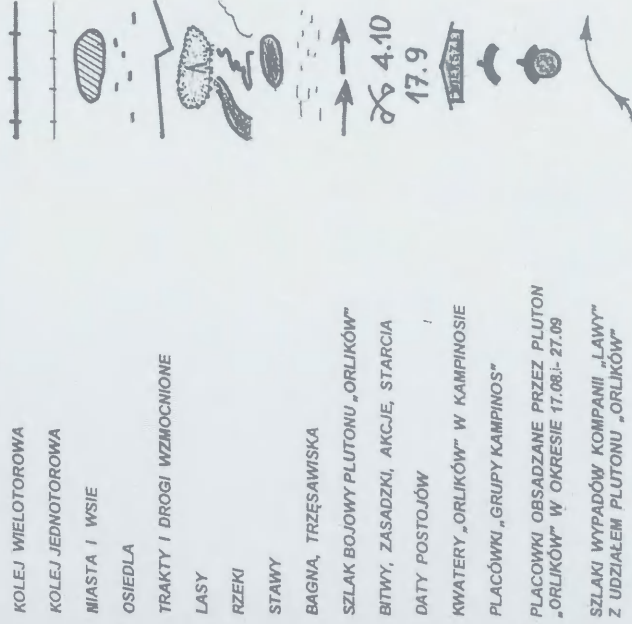
Demobilizację Kompanii Lotniczej jej żołnierze przyjęli jako decyzję rozsądną, ale bolesną. Jediną satysfakcję dla kompanii stanowiła świadomość, że mimo przewagi nieprzyjaciela, zadali mu dotkliwe ciosy, jak również fakt, że wróg nie zdołał ich zmusić do złożenia broni.

MAPA POGLĄDOWA
SZLAKU BOJOWEGO
PLUTONU „ORLIKÓW”
oprac. T. Bobrowski

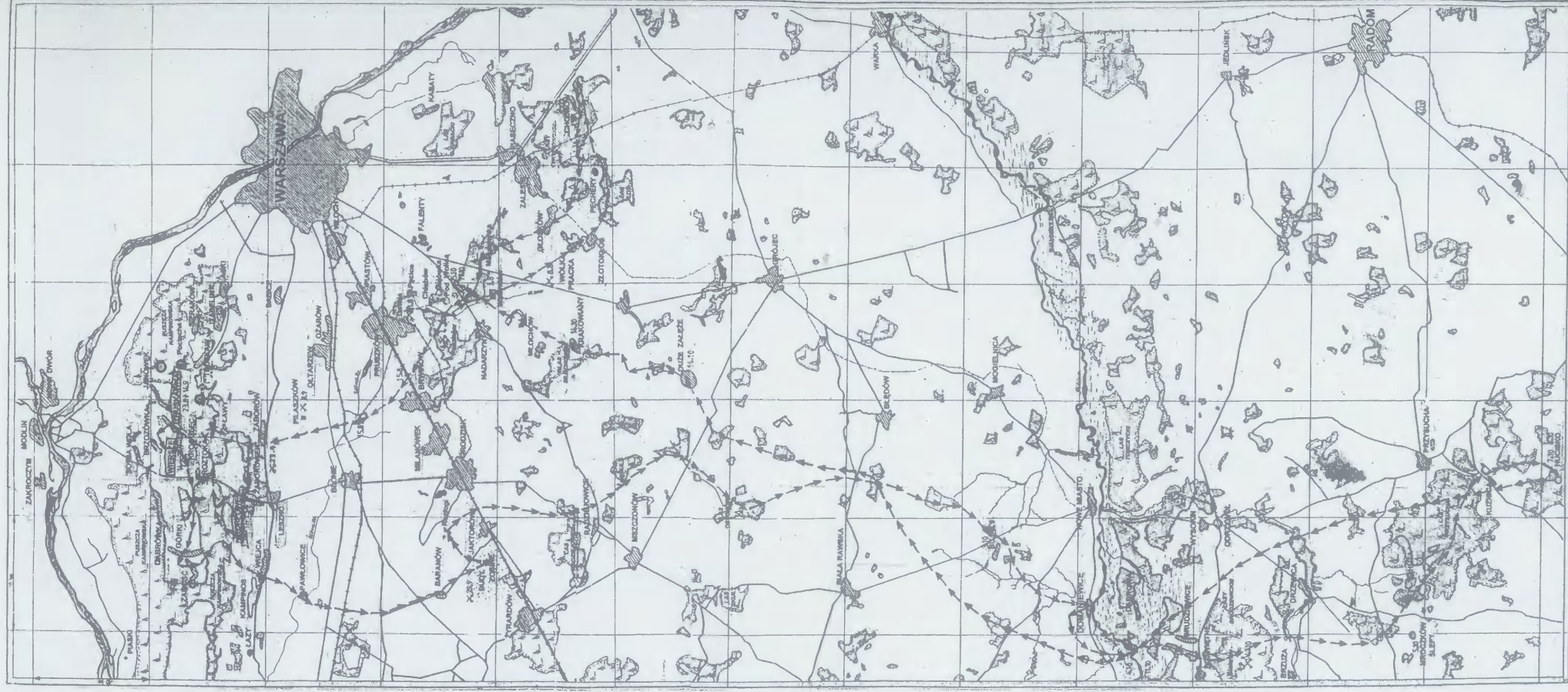


Z.511500

MAPA POGLĄDOWA SZLAKU BOJOWEGO PLUTONU „ORLIKÓW” Z PRUSZKOWA



UWAGA: na mapie została naniesiona siatka pomocnicza
 wymiarach 10 x 10 km w celu łatwiejszego
 określenia odległości podczas przeglądu mapy.





VIII

WRACAMY NIE SKŁADAJĄC BRONI

Oddział prowadzony przez ppor. „Orlika” w składzie: „Smuga”, „Józek”, „Bez”, „Gerwazy”, „Orzeł”, „Stefania”, „Witeź”, „Włodek”, „Zacny”, „Czyżyk”, „Górski”, „Kazik”, „Petri” i „Zygota” wyruszył w rodzinne strony, do Pruszkowa. Początkowo marsz odbywał się pieszo, nocami. Za przewodników służyli członkowie miejscowych jednostek AK. Jednak wkrótce dały znać o sobie trudy ostatnich dni. Kilku żołnierzy chorowało, byli ranni. Dlatego dwie ostatnie noce marszrutę odbywali na wozach.

Jednak przygody, jakie pluton napotkał w drodze powrotnej, sprawiły, że jego żołnierze nie dotarli do Pruszkowa jednocześnie. Dalszy przebieg drogi podajemy według relacji Tadeusza Bobrowskiego „Witezia”:

„Szliśmy nocami, dni przesypialiśmy w stodołach lub innych zabudowaniach gospodarskich. Moja noga spuchła w kolanie jak balon. Cholernie bolała i nie mogłem jej zginać. Czułem coraz wyższą gorączkę. Kulałem, nie mogłem nadążyć za oddziałem. Wlokłem się ostatni przez jakieś pole, oddział już zniknął mi z oczu. Położyłem się na ziemi, przytuliłem do karabinu i zasnąłem. Nagle ktoś mnie zaczął budzić. Doliczyli się, że mnie nie było i wrócili, żeby mnie zabrać. Prosiłem, żeby mnie zostawili, ale nie chcieli się zgodzić. Z ich pomocą dotarłem do wsi Łomna. Dali mi tam chudą szkapę. Jechałem na niej bez siodła w świetle księżyca jak Don Kichot. Kolano wciąż bolało. Dodatkową »przyjemnością« tej jazdy było obtarcie zagłębienia między pośladkami. Tak, więc oprócz bólu kolana doszła męczarnia wynikająca z uszkodzenia tej części ciała, której nazwy nie wymawia się na salonach, tym bardziej nie wypada przytoczyć jej miana w słowie pisanym. A więc ból – można powiedzieć – dwustronny i do tego gorączka. Gdzieś nocowaliśmy, szliśmy, wreszcie luksusowa jazda wymoszczonym słomą wozem. Wóz toczył się po jakiejś brukowanej drodze.

Była noc z 14 na 15 października, kiedy dotarliśmy do wsi Krakowiany. Słyszałem, jak przewodnik, będący właścicielem wozu, na którym jechaliśmy, oświadczył, że nie zna dalszej drogi i trzeba mu wracać do jego wsi, bo odjechaliśmy od niej jakieś dwadzieścia kilometrów. Wóz stanął, zapanowała cisza.

Nagle z chałupy stojącej przy drodze ktoś krzyczy. Był to »Józek«, który poszedł tam w poszukiwaniu nowej podwody. Opowiadał potem, że kiedy otworzył drzwi stodoły, w drzwiach chaty ujrzał żołnierza wehrmachtu.

– Niemcy! – wrzasnął i trzasnąwszy drzwiami uciekł.

Zrobił się szum. Koledzy zeszli z wozu, ja leżę i nie ruszam się – mnie to nie dotyczy. Nikt mi nic nie powiedział, chcę więc dalej spać. Nic z tego, ktoś mną potrząsnął i mówi:

– Wszyscy idziemy do przodu! To rozkaz!

Zszedłem więc z wozu, podpierając się karabinem i kulejąc wyszedłem przed zaprzęg. Szedłem środkiem brukowanej drogi. Konie ruszyły za mną, byłem sam. Uszedłem zaledwie kilka kroków, gdy oślepił mnie strumień światła latarki i usłyszałem głos:

– Halt, Hände hoch! – jednocześnie usłyszałem strzały z karabinu z bliskiej odległości. Dostałem skrzydeł, poleciałem w lewo (ten z latarką stał przy rowie z przeciwnej strony). Gnałem jak zajęć, przez pole kartofli, ciągle słysząc strzały. Nagle rów melioracyjny, chciałem go przeskoczyć i wpadłem prosto do wody. Byłem cały przemoczony. W tym momencie ponad rowem z boku zobaczyłem jakąś ciemną postać i usłyszałem:

– Halt! – ale brzmiało to jakoś niepewnie, a potem:

– »Witeź« to ty?

To »Bez« – on też się zgubił. Było więc już nas dwóch.

Szliśmy w ciemności. Napotykamy dwóch następnych, to »Stefania« i »Górski«. Było nas już czterech. Zmierzamy do ciemniejszego z daleka lasu. Zabłądziliśmy i wróciliśmy znowu do tej wsi, gdzie w jednej z zagród stały niemieckie wozy. Czym prędzej wycofaliśmy się. O świcie, rowami melioracyjnymi doszliśmy do olszynki. Rano przyszedł ktoś na pole leżące przy olszynowych zaroślach, aby zbierać kapustę. Od niego dowiedzieliśmy się, że jesteśmy w pobliżu folwarku Bieliny koło Nadarzyna i że jest 15 października 1944 roku.



Nieistniejąca już leśniczówka w Chlebowie, gdzie żołnierze z plutonu „Orlika” wracający do domu i do konspiracji ukryli broń. Zdjęcie z lat siedemdziesiątych, fot. H. Krzyczkowski

Przed południem na łąkę przy olszynie wypędzono stado koni. Nie wiedzieliśmy do kogo te konie należą. Z daleka widzieliśmy jakieś zielone mundury, może Ukraińcy?

Na wszelki wypadek oczyściliśmy broń i zamelinowaliśmy się w dużym dole porośniętym krzewami. W pewnej chwili spostrzegłem między drzewami człowieka w mundurze. To Węgier! Kiedy nieznamy był już bardzo blisko, wyszedłem z dołu i powiedziałem:

– Eltren Madziar, jona potkiwanok! (Niech żyją Węgry, dzień dobry panu) – to był jedyny zwrot, którego nauczyłem się od mego ojca znającego węgierski.

Ostupałem Węgrowi wiadro wypadło z rąk. Podchodzę do niego i potrząsam jego bezwładnie zwisającą ręką. Jego zaskoczenie było całkowicie uzasadnione: miał przed sobą żołnierza w polskiej rogatywce i w niemieckiej panterce, w cywilnych spodniach, z białą-czerwoną opaską na prawym ramieniu, z karabinem i ładownicami przy pasie. W tym momencie z krzaków wylazło jeszcze trzech mu podobnych! Z trudem starałem się mu wytłumaczyć, moją kiepską niemczyzną, co

my za jedni, czego potrzebujemy. Z niemałym wysiłkiem zapewniłem go o przyjaźni polsko – węgierskiej, jaką wszyscy żywimy. Po jakim czasie zaczęliśmy się dogadywać. Węgier kiwał ze zrozumieniem głową, zapewniając że przyniesie nam coś do jedzenia i papierosy. Gdy opadło moje napięcie, powrócił cholerny ból nogi i gorączka. Nagle na odchodnym, Węgier odwrócił się do nas i powiedział coś po niemiecku, czego ja już nie zarejestrowałem. Na to jeden z naszych chłopców odpowiedział z przekonaniem i zdecydowanie:

– Jawohl!

Drugi, patrząc ze złością na udzielającego owej odpowiedzi, zapytał go:

– Czy rozumiesz, o co on pytał? – niefortunny interlokutor Węgry przyznał, że nie wie.

– On pytał: »sind Sie Juden?«, to znaczy czy jesteście Żydami, a tyś to baranie potwierdził. I co teraz będzie? Polaków Węgrzy nie wydadzą Niemcom, ale Żydów? Kto ich wie? Czyście broń! Wystawiamy czujkę na skraj olszyny.

Około dwunastej czujka doniosła, że do olszyny zbliża się dwóch Węgrów. Ten, który z nami rozmawiał i jeszcze drugi. Coś ze sobą gadali, byli podnieceni. Podeszli do nas przywitali się i ten drugi zakomunikował nam:

– Wir auch Juden sind (My też jesteście Żydami)

A to bomba! Powiedział, że w ich oddziale jest 80 Żydów, a dowódca ich kompanii jest również Żydem. Co nam pozostawało? Powiedzieć teraz, że nie jesteście Żydami? Spojrzeliśmy po sobie i jak umiemy opowiadamy o Getcie i robimy z siebie Żydów w polskich oddziałach. Ale w miarę trwania rozmowy wyczuwamy coraz większy dystans tego drugiego, który okazał się sierżantem. Coś mu nie pasowało i zdawał się wątpić, byśmy byli Żydami. Dali nam papierosy i poszli.

A mnie noga wciąż dokuczała, nie spadała też gorączka. Czujka obserwująca wciąż przedpole dała znać, że idzie w naszym kierunku tych dwóch Węgrów, którzy już u nas byli, ale z nimi jeszcze czterech z karabinami i bagnetami na nich. Coś nieklawo. Przyszli i znów zaczyna się drętwa rozmowa. Mieliśmy broń gotową do strzału. Przypuszczaliśmy, że ich kapitan się wystraszył, słysząc opowie-

ści tych dwóch, że się wygadali. I na wszelki wypadek chciał nam uświadomić, że jakby co, to on też nam może zrobić kuku.

Zastanawialiśmy się, co powiedzieć tym z karabinami? Jakoś im wyklarować, kim właściwie jesteśmy. Proponowałem, żeby ich poinformować, że służymy w majątku i pilnujemy pól, żeby kapusty nie kradli. Ale z drugiej strony, nie żądali żadnych wyjaśnień. Jedzenia nie przynieśli, lecz dali nam papierosy, pogadali i poszli. Nadchodziła noc i zaczęliśmy się zbierać do drogi.

Doszliśmy do wsi, gdzie jeden z gospodarzy ulokował mnie na poddaszu. Tym, którzy poszli dalej, do Pruszkowa, oddałem broń*, gospodarzowi zaś resztki munduru i czekałem cały w ogniu gorączki. Noga bolała mnie straszliwie.

Następnego dnia przyjechał po mnie furką mój ojciec i zabrał mnie do domu. Nazajutrz zabrali mnie do szpitala na Ostoi, żeby wreszcie jakiś lekarz zajął się moją nogą. Tam okazało się, że noga wymaga operacji i że będą mnie kroić. Nim się operacja zaczęła, ktoś z obsługi usiłował mi włożyć między szczęki kawałek deseczki dębowej, wyjaśniając, że to zabezpieczy mnie przed odgryzieniem sobie kawałka języka, co jest możliwe, bo zabieg będzie przeprowadzony na żywca, bez znieczulenia i że trochę będzie bolało. No nie! Kazałem się odwiązać od stołu.

– Chcę wracać do domu!

Powiedzieli mi, że jutro trzeba będzie amputować nogę. A ja na to:

– Wtedy to już będzie poważna operacja i pewnie znajdą się jakieś środki znieczulające.

Ostatecznie dali mi narkozę z chloroformu i pokrajali kolano. Po obudzeniu się zobaczyłem nad sobą dziewczynę w bieli, więc zapytałem:

– A gdzie mój karabin? – uśmiechnęła się i odpowiedziała:

– Pewnie pan gdzieś zgubił. – Pomyślałem: zwariowała!

Powoli dochodziłem do świadomości. Stawiałem się tym lekarzom, bo nie miałem pojęcia, że ze środkami znieczulającymi jest tak źle, że ich po prostu brak.

* Towarzyszący „Witeziowi” – „Bez”, „Stefania” i „Górski” – ukryli swoją broń i broń „Witezia” w gajówce „Pod Wolicą”.

W domu długo jeszcze uczyłem się chodzić.

Drugiego dnia po operacji, kiedy jeszcze leżałem w łóżku, do pokoju weszło dwóch Niemców. Jeden w mundurze, drugi w płaszczu skórzanym. Kazali mi się wylegitymować, więc pokazałem im kennkartę. Ojciec wytłumaczył, że byłem na wsi i pracowałem u chłopca. Wróciłem do domu, bo mam ropę w stłuczonym kolanie. Potem dowiedziałem się, że jeden z naszych pokoi zajął na kwaterę któryś z tych Niemców.

Minął październik, listopad i grudzień. Nadszedł rok 1945. Niemcy odeszli, przyszła Armia Czerwona. Pod koniec stycznia zapisałem się do liceum w Piastowie, gdzie zamierzałem zdać maturę."

IX

ZAPŁATA

*Dla Ciebie, Polsko i dla Twojej chwały
Kraju rodzinny, ziemio Ojców święta,
Krwi naszej hojnie strumienie się lały,
Byś mimo kajdan trwała nieugięta.
Za naszą miłość, za naszą ofiarę.
Gdy czas pokoju nareszcie się ziścił,
Mając pierwowzór we wczorajszych katach,
Płaciłaś jadem obelg, nienawiści,
Kaźnią przestuchań, śmiercią w kazamatach*

Przeszedłszy do cywila, żołnierze plutonu „Orlika” postanowili podjąć przerwana naukę. Z goryczą i zdumieniem patrzyli na ogromne plakaty, którymi oblepione były wszystkie możliwe miejsca, z hasłem: „Zapluty karzeł reakcji”. Przedstawiały one pokracznego liliputa z wymalowanymi na plecach literami AK. Obok niego kroczył tryumfalnie z ironicznym uśmiechem żołnierz – olbrzym w mundurze „ludowego” wojska polskiego. Była to dopiero przygrywka, uwertura do wydarzeń, które miały wkrótce nastąpić.

Jednym z pierwszych, który poczuł represje nowego reżimu, wymierzone w tzw. „wrogów klasowych”, był Tadeusz Bobrowski „Witeź”, żołnierz plutonu „Orlików”.

Jak wspomniano, zapisał się on z zamiarem zdania matury do liceum w Piastowie, dokąd codziennie chodził „per pedes apostolorum”^{*}. Któregoś dnia, w czasie drogi do domu, zaczął go znajomy rówieśnik, z gatunku tych, których dewizą jest: „działać, działać za wszelką cenę”, proponując mu współpracę przy redagowaniu „gazetki”. Miała by ona, podobnie jak kiedyś „Biuletyn Informacyjny”, przeciwstawiać się narzuconemu reżimowi.

^{*} łac.: „pieszo, jak apostołowie”

Zaskoczony Tadeusz dał odpowiedź wymijającą, znał bowiem tego kolegę jako człowieka nie bardzo odpowiedzialnego. Niedługo potem Tadeusz dowiedział się od wspólnych znajomych, że ów inicjator „gazetki” został aresztowany, ale po stosunkowo krótkim czasie zwolniono go, i że przebywa w domu. Prosi Tadeusza, aby go odwiedził. Tadeusz spełnił jego życzenie. W rozmowie dowiedział się, jak brutalnie go przesłuchiowano, zademonstrował nawet posiniaczone plecy. Mimo to, ciągnął tamten, pierwszy numer pisemka już się ukazał, a nawet zawiera wiersz „Witaj, czerwona zarazo”, napisany w czasie trwania Powstania Warszawskiego przez jednego z powstańców. Wysłuchawszy tej relacji Tadeusz odetchnął z ulgą, że nie miał z redagowaniem pierwszego numeru gazetki nic wspólnego.

Jego spokój nie trwał jednak długo. Kilka dni później wracając do domu został zagadnięty przez mężczyznę ubranego w polski płaszcz wojskowy bez dystynkcji:

– Kakaja eto ulica? – zapytał

Kiedy Tadeusz odpowiedział, nieznajomy wyciągnął pistolet i poleciał mu iść ze sobą.

Pod koniec marca 1945 r. Tadeusz Bobrowski, wraz z setkami innych Polaków, aresztowanych w tym czasie przez NKWD, bez wyroku sądowego i postawienia mu jakichkolwiek zarzutów, został w bydłym wagonie, w warunkach urągającym elementarnym zasadom humanitaryzmu, wysłany w głąb ZSRR, do obozu karnego. Tam pracował jako drwal lub flisak, spławiając rzeką zrąbane bale drzew. Jediną osłodą dwuletniej poniewierki był fakt, że w czasie zesłania był, w pewnym sensie, pod opieką niezwyklego człowieka, generała Emila Fieldorfa „Nila”*, którego szczęśliwym zbiegiem okoliczności sowieci nie rozpoznali.

Na zesłaniu generał „Nil” przebywał jako Walenty Gdanicki, kolejarz, zesłany za rzekomy handel papierosami i dolarami. Generał przeżył obóz i po ponad dwóch latach, podobnie jak Tadeusz Bobrowski i inni zesłańcy, wrócił do Polski. Po ujawnieniu się, został aresztowany i po groteskowym procesie w 1952 roku został zamor-

* Dokładny opis losów Tadeusza Bobrowskiego na zesłaniu i jego późniejsza przyjaźń z generałem Emilem Fieldorfem „Nilem” został opublikowany w numerze 2/1993 „Przeglądu Pruszkowskiego”

RZECZPOSPOLITA POLSKA
Ministerstwo Administracji Publicznej
Państwowy Urząd Repatriacyjny

Punkt Przyjęcia

Białej - Białostok

Zaświadczenie Nr 051417

Wzrost Nr 3
Jedn. miaryczna w - miarce od lat
16 d. 30

Zaświadcza się niniejszym, że ob. Bobrowski Tadeusz z. Hrab.

Pruszków R. Hraboszy 16. XI 1924 r.
(nazwisko, imię, imię ojca)
(rok i miejsce urodzenia)

przybył do Polski z terytorium Z.S.R.R.

i dnia 27. XII 1947 r. zarejestrował się na Punkcie

Przyjęcia w Białej - Białostok

Obecnie udaje się do St. Pruszków ul. Dąbrowskiej 10
(adres)

Na podstawie zarządzenia Radz. Ministrów z dnia 5.5.47 r.

ob. Bobrowski Tadeusz ma pierwszeństwo i prawo
jedenorazowego bezpłatnego przejazdu wszelkimi środkami lokomocji do

St. Pruszków ul. Dąbrowskiej 10

Władze Państwowe i Samorządowe są proszone o udzielenie jaknajdalej
szacielowi niniejszego.



Wydano d. 27. XII 1947 r.

Ważne do dnia 10. XI 47 r.

Drukarnia Nr 1

U W A G A:

1. Otrzymaiciel niniejszego zaświadczenia obowiązany jest zameldować się Miejski Obywatelskiej w terminie do 14 dni od daty wystawienia zaświadczenia i do 3 dni po przybyciu na miejsce zamieszkania.
2. Po upływie terminu ważności, zaświadczenie winno być wymienione w miejscu stałego pobytu - na dowód tożsamości.

Kierownik Punktu Przyjęcia

w Białej - Białostok
Wp. Giga-f

Zaświadczenie Tadeusza Bobrowskiego o zwolnieniu go po dwuletnim pobycie w obozie na Uralu

dowany w Więzieniu Mokotowskim przy Rakowieckiej w Warszawie. Był to jeden z setek tzw. mordów sądowych.

Po powrocie do domu Tadeusz Bobrowski podjął naukę w liceum i zdał maturę.

Co się stało z pozostałymi „Orlikami”, którzy wyruszyli z Gór Świętokrzyskich z powrotem do domu?

Grupa plutonu wracająca do Pruszkowa z ppor. „Orlikiem” do-
tarła do rodzinnego miasta 15 października 1944 roku. W grupie

tej znajdowali się: „Smuga”, „Józek”, „Gerwazy”, „Orzeł”, „Włodek”, „Zacny”, „Czyżyk”, „Petri” i „Zygota”. Sporą ilość posiadanej broni i amunicji, po starannym zakonserwowaniu, zakopali w rejonie gajówki w Lasach Chlebowskich. Kilka dni później ppor. „Orlik” został powiadomiony, że broń ta musi być przeniesiona w inne miejsce, bowiem kryjówka, w której ją złożyli, znalazła się na wytyczonej przez Niemców linii kopania rowów przeciwczołgowych.

Trzeba więc było działać szybko i skutecznie. Do pracy przy przenoszeniu partyzanckiego oręża zgłosili się: ppor. Tadeusz Nowicki „Orlik”, Kazimierz Styczeń „Smuga”, Ryszard Kamiński „Włodek”, Piotr Śliwowski „Orkan” i Kazimierz Radwański „Górski”. Część broni zakopali w Lasach Komorowskich, a część zabrali do swych domów.

Nikt z plutonu „Orlików” nie miał zamiaru ani składać broni, ani „ujawniać się”. Jako cywile postanowili zająć się swoją przerwana edukacją. Ci, którzy mieli już matury zgłosili się na wyższe uczelnie, inni wybrali szkoły techniczne lub zawodowe.

Kazimierz Radwański rozpoczął studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego. Któregoś dnia zagadnął go znajomy (nie można ustalić czy był to dawny kolega z czasów szkolnych, czy któryś ze studentów) czy nie interesuje go nabycie pistoletu. Kazimierz Radwański przyjął ofertę i kupił tę broń. To zdumiewające, że człowiek będący tyle lat w konspiracji, zachował się tak nierozważnie i dał się tak łatwo podejść prowokatorowi. Wkrótce, co było do przewidzenia, został aresztowany.

Po okrutnym przesłuchaniu nie tylko zdradził miejsce ukrytej przez „Orlików” broni, ale też osoby, które uczestniczyły w akcji przechowywania jej.

Zaraz potem jego niedawni towarzysze walki i broni również znaleźli się w rękach UB.

Znany jest przebieg akcji wobec Ryszarda Kamińskiego „Włodka”*, który mieszkał w domu swej ciotki wraz z niedawno poślubioną żoną.

* Szczegółowa relacja z aresztowania Ryszarda Kamińskiego i jego wspomnienia więzienne zostały opublikowane w numerze 1-2/1993 i 1/1994 „Przeglądu Pruszkowskiego”.

Część broni, wykopanej w Lesie Komorowskim, jaka przypadła na niego, ukrył w piwnicy domu, przysypując ją węglem. W nocy z 13 na 14 listopada do domu weszli ubowcy. Po drobiazgowej, wielogodzinnej rewizji aresztowano Ryszarda, jego będącą w ciąży żonę Annę i ciotkę Ryszarda, Janinę Kamińską. W tym domu mieszkał także stryj Ryszarda, także o imieniu Ryszard, który po aresztowaniu siostry Janiny zgłosił się do UB z propozycją, ażeby zatrzymali jego, a zwolnili siostrę, osobę zaawansowaną w latach i chorą. Ubowiec, zaskoczony tą niecodzienną propozycją, odrzucił ją, jednak na odchodnym obiecał „ochotnikowi”, że i na niego przyjdzie kolej. Po powrocie do domu stryj wydobył spod węgla partyzancką broń bratanka, wyniósł z domu i utopił w gliniance. Pani Janina wkrótce została zwolniona, ale nad głową jej brata zawisła groźba aresztowania. Stryj Ryszard postanowił więc przedostać się na Zachód i ukryć się na dobre.

Ruszył często wówczas używanym szlakiem przez Czechosłowację. Niestety, został tam schwytany i przekazany polskiemu UB. Wyrok brzmiał: 15 lat więzienia, z czego odsiedział osiem.

Więźniem reżimu był także Piotr Śliwowski „Orkan”, który, jak rodzina Kamińskich, został aresztowany 13 listopada 1948 roku. Był on jednym z czterech „Orlików, którzy wykopali broń ukrytą w Lasach Chlebowskich i przechowywali ją w domu.

Po latach spisał on swoje „Wspomnienia więzienne”, które udostępnił dla potrzeb niniejszej monografii. Do swojej pracy dołączył cenny dokument – sentencję wyroku, skazującego uczestników akcji zabezpieczania broni na długoletnie więzienie (patrz Aneks, str. 109-111):

W więzieniach PRL-u znalazłem się 13 listopada 1948 r. i przebywałem tam do 25 lutego 1951 r. A jak do tego doszło? Trzeba zacząć od lat wojennych. W czasie II wojny światowej byłem żołnierzem Armii Krajowej w Pruszkowie – VI Rejon, VII Obwód „Obroża”. Przydzielony byłem do Plutonu Łączności Alarmowej – dowódca Olgierd Bujwid „Ulewa” – i wraz z nim stawiłem się w miejscu koncentracji 1 sierpnia 44 r. na Ostoi w Pruszkowie. Dalsze wydarzenia – w skrócie, bo ogólnie znane – to przemarsz z Dowództwem do Lasów

Sękocińskich, w rejonie Nadarzyna i zakwaterowanie w „domku rybaka”. Tam działania operacyjne do 3 sierpnia. W dniu tym – na własną prośbę – przydzielony zostałem do oddziału por. „Orlika” (Tadeusz Nowicki) i z oddziałem tym przebyłem prawie cały szlak jego działań powstańczych tj. Lasy Sękocińskie, Lasy Chojnowskie, przemarsz do Puszczy Kampinoskiej i tam działania w ramach Kompanii Lotniczej do Zadań Specjalnych por. Lawy” (Tadeusz Gaworski).

W końcu września przemarsz całym Zgrupowaniem Kampinos pod Jaktorów, gdzie Zgrupowanie to poniosło ciężkie straty. Dzięki strategii por. „Lawy” podległe mu oddziały tj. „Lawiaczy” i „Orliki” strat nie poniosły. W dniu 30 września, po reorganizacji kompanii por. „Lawy”, zostałem zwolniony i wróciłem wraz z kol. Eugeniuszem Widlickim i kilkoma innymi osobami do Pruszkowa, do poprzedniej pracy konspiracyjnej.

W przemarszu spod Jaktorowa do Lasów Brudzewickich nad Pilicą i w dalszych działaniach oddziału por. „Lawy” i por. „Orlika” (bardzo ciężkie walki i duże straty) nie brałem udziału.

Kiedy jednak 15 października oddział por. „Orlika” wrócił – skrajnie wyczerpany – w rejon Pruszkowa, brałem czynny udział w konserwacji i ukryciu przyniesionej broni i amunicji. Początkowo broń została ukryta w rejonie leśniczówki Chlebów, ale po kilku dniach zawiadomiono por. „Orlika”, że w tym miejscu wyznaczono linię okopów, mających powstać dla wojsk niemieckich. Broń i amunicję przenieśliśmy do Lasów Komorowskich i do naszych domów w Pruszkowie i w Piastowie. Brałem udział w zakopywaniu broni w Lasach Komorowskich i ukryciu znacznej jej ilości w podwójnym stropie naszego domu przy ulicy Drzymały 18 w Pruszkowie. Tym obciążono mnie w późniejszym procesie w 1949 roku.

Po 19 stycznia 1945 roku, tj. po rozwiązaniu Armii Krajowej, wróciliśmy wszyscy, byli żołnierze oddziału „Orlika”, do życia cywilnego. Nikt nie „ujawnił się” i nie zdał ukrytej, lub raczej – przechowywanej, broni.

Skończyłem w 47 roku na Politechnice Łódzkiej studia techniczne, rozpoczęte w Warszawie w latach 43 – 44. Od roku 48 rozpocząłem pracę w Biurze Projektów w Łodzi. Nie trwało to długo, bo 13 listopada 48 r. zostałem aresztowany. Natychmiast przewieziono mnie

N. I. Sr. 1194/1949 r.

202 75 A

WYROK (WYJĄTKI DOTYCZĄCE ORLIKÓW)

W IMIENIU RZECZY POSPOLITEJ LUDOWEJ

Dnia 2 września 1949 r.

Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie

po przeprowadzeniu w dniach 30 i 31 sierpnia 1949 r.

rozprawy w sądzie:

mjr. Widał Mieczysław - przewodniczący,
kpr. Iszczak Władysław - członek Sądu,
szer. Szatkowski Jan - " " "
por. Czarkowski Ryszard - jako protokolant,

bez udziału Prokuratora, z udziałem obrońców oskarżonych

z wyboru: a/ adw. Kaczorowskiego Jana, b/ adw. Wnuka Józefa

c/ Palatyńskiego Jana, d/ adw. Wagners Mariana,

e/ adw. Załęskiego Jana, f/ Maizelsa Jerzego, g/ ^{Antonow} ~~Maizelsa~~

Alicji, h/ adw. Londona Antoniego, j/ Stejnika Jana,

k/ adw. Burskiego Mariana.

rozpoznał sprawę Sr 1194/49, w której zostali oskarżeni:

a/ Mowicki Tadeusz s. Albina i Heleny z d. Gliński
ur. 30.I.1920 r. w m. Grudziądz,

b/ Styżek Kazimierz s. Mikołaj s. Jana i Katarzyny
z d. Telecińskiej, ur. 6.12.1922 r. w Warszawie,

c/ Kamiński Ryszard s. Władysława i Eugenii
z d. Cyling, ur. 28.10.1923 r. w m. Pruszków, zam.

d/ Radwański Kazimierz s. Feliksa i Bronisławy
z d. Borowińskiej, ur. 5.10.1925 r. w m. Polany

pow. Kowel,

e/ Śliwowski Piotr s. Kazimierza i Marii z d.
Laskowskiej, ur. 19.10.1923 r. w m. Godziszów,
pow. Janów Lubelski,

O r z e k ł:

I. następujących oskarżonych uznać za winnych, że od drugiej połowy stycznia 1945 r. na terenie Bruszkowa koło Warszawy przez przynależność do organizacji reakcyjnej "Kedyw Zoltańczy" i działalność w ramach jej zadań usiłowali przemocą zmienić ustrój Państwa Polskiego.

a/ Nowicki Tadeusz s. Albina pseudo "Orlik" jako zastępca dowódcy kpt "Zawy" i dysponent przechowywanej broni do dnia 13.11.1948 r.

b/ Styżen Kazimierz s. Jana, pseudo "Sługa" jako zastępca osk. Nowickiego i współdysponent przechowywanej broni organizacyjnej do dnia 20.11.1948 r.

c/ Kamiński Ryszard s. Władysława pseudo "Włodek" jako zwykły członek i przechowawca broni organizacyjnej do dnia 13.11.1948 r.

d/ Radwański Kazimierz s. Feliksa pseudo "Wódek", jako zwykły członek, wykonawca specjalnych poruczeń osk. Nowickiego i przechowawca broni organizacyjnej do dnia 5.11.1948 r.

II. e/ Kazimińskiego Ryszarda s. Władysława uznać za winnego, że jesienią 1945 r. w Bruszkowie przekazując a/ Nowickiemu Tadeuszowi s. Albina spis pułków KBW, oraz ich miejsca postoju ujawnił tajemnicę, dotyczącą sił zbrojnych Państwa Polskiego,

IX. d/ Radwańskiego Kazimierza, s. Feliksa uznać za winnego, że w maju 1945 r. w Bydgoszczy podrobił w celu użycia za autentyczne świadectwo dotyczące jego stosunków osobistych rozkaz wyjazdu ze szpitala wojskowego dla odbycia podróży prywatnych,

X. Następujących oskarżonych uznać za winnych,
że bez zezwolenia przechowywali broń i amunicję.

b/ Styczeń Kazimierz s. Jana od drugiej połowy stycznia
1945 r. do 20.11.1948 r.,

a/ Nowicki Tadeusz s. Albina do 13.11.1948 r.

d/ Radwański Kazimierz s. Feliksa do 5.11.1948 r., zaś

e/ Śliwowski Piotr, s. Kazimierza do 13.11.1948 r.

- wszyscy trzej od drugiej połowy stycznia 1945 r.

- popełnili zatem wyżej wyszeregowani oskarżeni
przestępstwa z art. 4 § 1 dekretu z dnia 13.VI.1946 r.
i za nie skazać ich na podstawie art. 4 § 1 dekretu
z dnia 13.VI.1946 r.

a/ Nowickiego Tadeusza s. Albina na 15 /piętnaście/ lat
więzienia;

b/ Styczenia Kazimierza s. Jana na 12 /dwanaście/ lat
więzienia;

c/ Kamińskiego Ryszarda s. Władysława na 10 /dziesięć/
lat więzienia;

d/ Radwańskiego Kazimierza s. Feliksa na 12 /dwanaście/
lat więzienia;

e/ Śliwowskiego Piotra s. Kazimierza na 12 /dwanaście/
lat więzienia;

XV. Na podstawie art. 48 § 3 KKWP zarządzić przepadek
i przekazanie na rzecz MSWi w Opatowie zakwestionowanej
broń, amunicji i materiałów wybudowych: pistoletu MP 40
bez magazynka, pistoletu FA 82792, pist. Sten BP 5783,
12 granatów, 11 sztuków pocisków z amunicją:
1-go magazynka, 10 szt. amunicji kal. 9 mm,

do Warszawy i osadzono w piwnicach Ministerstwa Bezpieczeństwa na ul. Koszykowej. Tu przesłuchiwanie i pisanie protokółów trwało przez kilka tygodni. Przed Bożym Narodzeniem 48 r. przewieziony zostałem do więzienia mokotowskiego na Oddział XI, a później X. Tu dalsze przesłuchania i pisanie niekończących się protokółów. W tym czasie nie zetknąłem się z żadnym z aresztowanych kolegów – całkowita separacja.

W maju przewieziony zostałem do Miejskiego Urzędu Bezpieczeństwa na ul. Cyryla i Metodego na Pradze. Tu znów przesłuchania, pisanie życiorysu i protokoły. Separacja była tu mniej ścisła – już wiedzieliśmy wzajemnie, kto jest aresztowany. Po miesiącu lub dwóch powrót na Mokotów – teraz już do celi ogólnej.

Rozprawa w Wojskowym Sądzie Rejonowym w Warszawie w dniach 30 i 31 sierpnia 49 roku. Rozprawa dotyczyła 14 osób, w tym tylko 5 osób z Oddziału por. „Orlika”, a pozostałe 9 to osoby związane z kol. Kazimierzem Radwańskim. Wyroki: Tadeusz Nowicki „Orlik” – 15 lat, Kazimierz Styczeń „Smuga”, Kazimierz Radwański „Górski”, Ryszard Kamiński „Włodek” i Piotr Śliwowski „Orkan” po 12 lat. Wszyscy na 5 lat zostaliśmy pozbawieni praw publicznych i obywatelskich praw honorowych.

Po wyroku znów cela ogólna na Mokotowie, przez pewien czas praca w więziennym Biurze Architektoniczno – Konstrukcyjnym i 25 sierpnia 50 roku transport do więzienia w Rawiczu. Tu niedługi pobyt – 25 lutego 51 roku zostałem warunkowo zwolniony, dzięki usilnym staraniom rodziny, zwłaszcza mojego ojca. Oni pomogli załatwić warunkowe zwolnienie mnie z więzienia. Pozostali koledzy z Oddziału „Orlika” więzieni byli – o ile dobrze wiem – do 54 lub 55 roku. Po wyjściu z więzienia wróciłem do Łodzi i aż do emerytury w 1985 roku pracowałem w Miastoprojekcie – Łódź”, zajmując się energetyką ciepłą.

Mam żonę, córkę i wnuczkę. Tylko żona jest ze mną – córka i wnuczka mieszkają w Anglii.

Z okresu więziennego pozostały w mojej pamięci osoby, z którymi się osobiście zetknąłem, a które zostały potem stracone lub zmarły w więzieniu. Byli to: Adam Doboszyński – działacz Stronnictwa Narodowego, Tadeusz Borowski – oficer Wileńskiej Armii Krajowej,

Józef Batory – działacz WIN-u, Kostek Biernacki – przedwojenny wojewoda poleski, Kazimierz Pużak – działacz PPS-u i wielu innych, których nazwisk już nie pamiętam, a niektórych nigdy nie znałem. W celi nr 34, gdzie przebywało nas zwykle 90 osób, w pewnym okresie 35 więźniów miało wyroki śmierci i co pewien czas któryś „ubywał”.

W ogóle warunki w Więzieniu Mokotowskim były w tym czasie niezwykle ciężkie. Na Oddziale XI w celi o wymiarach 4 x 1,2 m, siedziało nas pięciu (tam zetknąłem się z p. Adamem Doboszyńskim). W celach ogólnych przeznaczonych dla 20 więźniów siedziało zwykle 90 do 100 osób. Rawicz był również bardzo ciężkim więzieniem.

Nadszedł rok 1953, kiedy umarł Stalin, w 1954 r., trochę zelżało, nastąpiło coś jakby wstęp do „odwilży”. Wznowiono system zwolnień warunkowych. Pod koniec września 1954 roku Ryszard Kamiński znalazł się na wolności po prawie sześciu latach więzienia. Pozostałym „Orlikom”, aresztowanym w 1948 roku, prawdopodobnie także skrócono pobyt w więzieniach. Szczegółów jednak dziś nie można ustalić.

Mimo koszmaru, jaki był udziałem pruszkowskiego plutonu, żaden „Orlik” nie załamał się ani w śledztwie, ani w więzieniu. Wrócili do normalnego życia i w pierwszym rzędzie zadbali o swoje wykształcenie. Ponad 60 procent z nich zdobyło wyższe, pozostali zaś średnie wykształcenie.

MIEJSCA PAMIĘCI GRUPY KAMPINOS



Budy Zosine: cmentarz poległych 29 września 1944r., fot. Z. Zaborski



Wiersze: pomnik Rzeczypospolitej Kampinoskiej, fot. Z. Zaborski



Tablica pamiątkowa poległych żołnierzy kompanii „Lawy” i plutonu „Orlika”,
fot. Z. Zaborski

ANEKS



ŻYCIORYS DOWÓDCY

Urodziłem się 30 stycznia w Grudziądzu jako syn Albina i Heleny z Ciesielskich. Ojciec, działacz niepodległościowy na Pomorzu w czasie zaboru pruskiego, był po odzyskaniu niepodległości posłem na sejm Rzeczypospolitej Polskiej przez dwie kadencje. W Gimnazjum T. Zana w Pruszkowie, gdzie zrobiłem maturę w 1938 r., byłem drużynowym 80 Mazowieckiej Drużyny Harcerskiej (pierwszym drużynowym i założycielem jej był po I wojnie Aleksander Kamiński).

Po konkursie matur, badaniach lekarskich w Centrum Badań Lekarskich Lotnictwa, eliminacyjnym kursie szybowcowym i egzaminie konkursowym, zaliczony zostałem do Szkoły Podchorążych Lotnictwa Grupa Techniczna w Warszawie. Po obozie pracy odbyłem do końca trzymiesięczny Kurs Podchorążych Rezerwy przy 82 p.p. w Brześciu nad Bugiem, a od początku roku 1939 zacząłem służbę w SPL Gr. Techn.

W stopniu kaprała podchorążego walczyłem we Wrześniu 1939 roku w obronie Warszawy, jako adiutant dowódcy Lotniczego Oddziału Szturmowego mjr. Jana Bohuszewicza, po jego ciężkim zranieniu – mjr. obs. Zygmunta Zborowskiego. Jednym z dowódców był tam kpt. obs. Antoni Klimas „Perć”, który później, w czasie okupacji, jako pporucznik, był szefem Działu Organizacyjnego Wydziału Lotnictwa Komendy Głównej AK. Tenże ciężko ranny w kolano w ostatnich dniach Obrony Warszawy, leżał w Szpitalu Wolskim. Tam odwiedzałem go w początkach października, po ucieczce z niewoli. Kpt. A. Klimas przedstawił mnie przebywającemu w tymże szpitalu majorowi Stanisławowi Piękosowi, późniejszemu płk (gen.) „Skala”, dowódcy Grupy Operacyjnej PAL „Centrum”. Ten z kolei przekazał mnie do mjr. Stanisława Babiarsza „Wysokiego”, późniejszego dowódcy 7 pp i 8 Samodzielnego Rejonu „Garłuch – Madagaskar”.

Od połowy października 1939 roku zacząłem więc działalność w podziemiu w SZP, ZWZ, AK, najpierw jako dow. plutonu, później 3 kompanii I batalionu mjr Mikołaja Sukniewicza „Koli”.

Po przejściu, tuż przed Powstaniem Warszawskim, do VI Rej. „Helenów” VII Obwodu „Obroża” Armii Krajowej, objąłem Kompanię Specjalną i funkcję 12 E (Egzekutor). W akcji „Burza”, pierwszego dnia Powstania Warszawskiego, zostałem ranny w podstawę czaszki (wstrząs mózgu, częściowy niedowład połowy ciała od pasa w dół). Pułk po czterech dniach koncentracji wrócił do domu (do podziemia), a ja ze swoim małym wojskiem, niestety wbrew rozkazowi, zostałem, aby dalej walczyć w lasach Sękocińskich, Piaseczna, Kampinosu, Gór Świętokrzyskich. Zaczynałem Powstanie prawie „goły”, (...) a kończyłem po powrocie z Gór Świętokrzyskich 15 października 1944 – uzbrojony po zęby.

W raporcie karnym dowódcy pułku mjr Edmunda Krzywdy Rzewuskiego „Pawła” w pierwszej części była nagana za nieusłuchanie rozkazu powrotu z lasu do podziemia, w drugiej – powiadomienie o przedstawieniu mnie do odznaczenia *Virtuti Militari* V Klasy.

W Kampinosie walczyłem w ramach Kompanii Lotniczej por. (kpt.) Tadeusza Gaworskiego „Lawy”, wreszcie wspaniałego żołnierza, dowódcy i cichociemnego. Kompanię tę przejąłem po nim po Powstaniu, on przeszedł do Dowództwa Lotnictwa. Ostatnim silnym akordem wojowania była całodniowa bitwa koło Brudzewic w Lasach Spalskich, z chyba dziesięciokrotnie przeważającym wrogiem. A więc tam, gdzie mjr Henryk Dobrzański „Hubal” zaczynał wojnę partyzancką w 1939 roku.

Z kpt. (ppłk.) Antonim Klimasem „Perciem” miałem kontakt przez całą okupację, będąc do jego dyspozycji i wykonując sporadyczne polecenia. Głównym terenem mojej działalności była piechota. Zgodnie z dokumentem podpisanym przez ppłk „Wolańskiego”, szefa personalnego AK i ppłk A. Klimasa „Percia”, szefa Działu Organizacyjnego wydź. Lotnictwa KG AK, zakończyłem wojnę jako porucznik służby stałej lotnictwa, odznaczony dwukrotnie Krzyżem Walecznych (*Virtuti Militari* nie udało mi się zweryfikować).

Z mojej kompanii siedmiu ludzi zginęło, siedmiu dostało awans z podchorążego na podporucznika, kilku na podoficera, czternastu

dostało Krzyż Walecznych, pięciu – długoletnie więzienie w Polsce Ludowej.

W 1947 roku ukończyłem studia, rozpoczęte w czasie okupacji, dyplomem mgr inż. mechanika Politechniki w Łodzi, Sekcja Lotnicza. Do chwili aresztowania 13 listopada 1948 r. pracowałem w Instytucie Techniki Lotniczej, w Biurze Technicznym SKF.

Po wyjściu z więzienia w 1954 roku pracowałem w Biurze Projektowym „Bistyp”. Od początku 1956 r. mieszkalem w Łodzi „kupiony” za mieszkanie (w Warszawie nie miałem żadnych szans – „dla wrogów ludu” socjalistyczna Warszawa jest zamknięta, więc mieszkalem pod Warszawą). Pół roku przed moim aresztowaniem urodziła się nasza córka Anna, obecnie dr med. – internistka, w siedem lat później, niemal dokładnie co do dnia (dzień różnicy), syn Jacek. Ukończył on Uniwersytet w Wiedniu, Wydział Językoznawstwa.

W 1957 roku ukończyłem drugi fakultet – Budownictwo Lądowe. Wcześniej, w 1955 roku uzyskałem zatwierdzenie pracy doktorskiej z dziedziny mechaniki (prof. M.T. Huber). Doktoratu jednak nie uzyskałem, gdyż nie wykazałem dostatecznego entuzjazmu, żeby nawet próbować zdać egzamin z marksizmu-leninizmu. Doktorat zrobiłem dopiero w Wiedniu w 1980 roku.

W Łodzi pracowałem w kilku biurach projektów, wprowadzając nowe metody budownictwa mieszkaniowego, m.in. system szkieletowo-płytowy, novum w stosunku do budownictwa wielkopłytowego. Przedsiębiorstwo „Dąbrowa”, którego byłem współzałożycielem i dyrektorem technicznym, zbudowało wielkie osiedle w Łodzi o tej samej nazwie, z budynkami mojego systemu, według moich projektów. Byłem mianowany doradcą technicznym Ministra Budownictwa Olewińskiego. Prędko jednak zostałem zwolniony, gdy dyrektor Departamentu Kadr sprawdził moją przeszłość: nieprawomyślny, do żadnej partii politycznej nie należałem, nawet do związków zawodowych. Nie pasowałem do tak wysokiej funkcji. Brałem udział w wielu konkursach architektonicznych, kilka z nich (wraz z zespołem) wygrałem. Za swoje „osiągnięcia dla rozwoju architektury polskiej” zostałem mianowany członkiem zwyczajnym Stowarzyszenia Architektów Rzeczypospolitej Polskiej – jako jeden z trzech nie architektów w kraju – to duży honor dla mnie. Miałem kilka patentów z budownictwa.

W październiku 1972 roku wyjechałem z żoną i synem (córka właśnie skończyła medycynę i zaczęła pracę w kraju) do Libii, jako ekspert od spraw techniki budowlanej. Rok później – do Wiednia, również przez „PolSERVICE”, jako obliczeniowiec konstrukcji inżynierskich. Z tamtejszego biura projektów kilka razy, na około miesiąc, wyjeżdżałem do Iranu (Teheran). Działalność zawodową związaną z biurami projektów zakończyłem w 1987 roku, dalej pracuję sporadycznie nad projektami i programami komputerowymi.

Wielkim utrudnieniem w życiu i w pracy zawodowej są bardzo silne, napadowe bóle głowy, tak silne, że chwilami doprowadzają do wymiotów. Moja chrzestna córka słusznie kiedyś powiedziała: „a po co on tam laź?”

Otóż to, po co mi był ten patriotyzm, ta wojna, ta konspiracja – taka aberracja nastawienia do spraw (powiedzmy) ogólnych?!

Póki mogłem, przy pomocy rodziny zresztą, utrzymywać się na powierzchni, nie starałem się o emeryturę (należy mi się od prawie dziesięciu lat) ani o rentę inwalidzką po postrzale w czasie walki z wrogiem, ani o odszkodowanie za więzienie w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. O to ostatnie nie będę występował, bo skoro dla swego kraju pracowałem i walczyłem ze względów ideowych czy patriotycznych, byłoby dla mnie dyshonorem brać za to pieniądze.

O rentę inwalidzką jednak się staram (w 1968 roku, za czasów komunistycznych, odmówili mi jej, niby że wniosek był spóźniony). W 1994 roku minęło 50 lat od zranienia, od tylu lat powinienem dostawać rentę inwalidzką.

BY W PARTYZANTCE NIE BYŁO GŁODNO

W czasie okupacji, przygotowując się do akcji „Burza”, zaczęto planować przyszłe działania związane z zaopatrzeniem w żywność i leki oddziałów partyzanckich na wypadek wybuchu powstania.

Kpt. Wojciech Dwornicki „Wojtek”, jeszcze w czasie konspiracji, nawiązał kontakty z okolicznymi właścicielami śrutowników, którzy gotowi byli mleć ziarno na mąkę dla potrzeb walczących oddziałów.

Na wypadek walki zbrojnej zaplanowano też punkt sanitarny – w Młocinach. Podlegał on magazynierowi RGO Piotrowi Czarneckiemu „Pionkowi”, który dbał o to, by zawsze do jego dyspozycji były materiały opatrunkowe i leki pierwszej potrzeby.

Ogromny wkład miała także komendantka WSK (Wojskowa Służba Kobiet) Zofia Roeslerowa „Polka”, która sprzedała ziemię ze swego majątku i ofiarowała blisko pół miliona złotych na pierwsze potrzeby Armii Krajowej.

Organizowanie i gromadzenie żywności oraz przekazywanie jej oddziałom partyzanckim, stacjonującym w Puszczy Kampinoskiej, z chwilą wybuchu Powstania Warszawskiego należało do zadań dowódcy Wojskowej Służby Ochrony Powstania Eugeniusza Wyszomirskiego „Świta”. Tak więc do obowiązków żołnierzy WSOP należało transportowanie żywności ofiarowanej przez leżące w pobliżu puszczy wsie. Na terenie Dąbrowy Leśnej i Łomianek majątki ziemskie rodzin Makulskich, Mikulskich, Czerwińskich, Brzóska oraz inne gospodarstwa włączyły się do tej akcji.

W Zakładzie dla Niewidomych w Laskach działał szpital powstańczy pod kierownictwem dr Kazimierza Cebertowicza.

* Zofia Borkowska-Gombin „Lilia”, łączniczka VIII Rejonu VII Obwodu „Obroża” AK Warszawa Powiat Grupa Kampinos.



Zofia Borkowska – Gombin

A nakarmić trzeba było, oprócz rannych żołnierzy Grupy Kampinos, także oddziały znajdujące się na skraju pobliskiej puszczy, przygotowane do różnych akcji zbrojnych. Siostry Franciszkanek z Zakładu dla Niewidomych nie tylko pielęgnowały rannych żołnierzy, ale podjęły się również prania i reperacji zniszczonych mundurów. Gotowały też w kotłach zupę dla wszystkich potrzebujących. Bywało, że kocioł wystawiano na dwór i wydawano dziennie około tysiąca porcji.

Według relacji łączniczki Haliny Adamskiej – Ciężkiewicz „Jutrzenki”, żywność dla potrzeb Zakładu w Laskach pochodziła z majątków ziemskich znajdujących się w pobliżu. W związku z tym Hanna Cholewińska „Hanka” z Doświadczalnego Gospodarstwa Rolnego w Morach nieustannie kursowała między dowódcą – kpt. Józefem Krzyczkowskim „Szymonem” – i komendantką zwiadu Zofią Skonieczną – Kozłowską „Sową”.

Żywność dla Grupy Kampinos pochodziła, m.in. od rodziny Sewaldów z Lipkowa, Basińskich z Zielonki, Detkens ze Strzykuł czy Matysów z Szeligi oraz z Bronisz. Przywożono ją furmankami nocą do szpitala w Laskach.

Na specjalne wspomnienie zasługuje leżąca w pobliżu wieś Klau-dyn. To niebogata wioska, której mieszkańcy oddali swoje kartkowe przydziały na potrzeby Grupy Kampinos AK. Kiedyś, gdy łączniczka

„Jutrzenka” przyjechała z Zygmuntem Mańko „Krzemieniem” po odbiór darowanej żywności, mieszkańcy Klaudyna entuzjastycznie pomagali przy ładowaniu żywności na wóz, życząc z całego serca siły do walki z wrogiem.

Na terenie Zakładu w Laskach znajdowała się też główna kwatera łączniczek i zwiadowczyń komendantki dalekiego zwiadu Zofii Skoniecznej – Kozłowskiej „Sowy”. Dla wszystkich starczyło tam chleba oraz ciepłej strawy, było też gdzie odpocząć po przebyciu wielokilometrowych tras przez Puszcę Kampinoską do dowództwa w Wierszach, do Łomianek, Pruszkowa czy na Żoliborz.

Duże młyny rodziny Lippertów z Ożarowa i Lorenca z Pruszkowa, również zawsze przyjmowały od nas darowane nam zboże i przerabiały je na mąkę, z której wypiekano w puszczy chleb.

Kiedys otrzymałam od dowódcy kompanii rzutowej por. Tadeusza Karneya „Drewno” w Wierszach zadanie odebrania z Brzózki wypieczonogo chleba. Dostałam do dyspozycji furmankę i woźnicę Węgra (węgierscy żołnierze uciekali z niemieckiego wojska i przyłączali się do nas). Musiałam się z nim jakoś porozumiewać, ja nie znałam węgierskiego, on – polskiego. Dogadaliśmy się trochę po niemiecku i tak wykonałam powierzone mi zadanie, wracając z furmanką pełną chleba.

Do puszczy przybywały wciąż nowe oddziały z innych rejonów. Tak więc Grupie Kampinos przybywało żołnierzy, a WSOP – bruchów do nakarmienia. W zasadzie ciągle trzeba się było starać o żywność i to nie tylko dla ludzi. Zdobycie furazu dla około 700 koni, stanowiło nie mniejszy problem. Każdy koń, a codziennie pokonywały one forsowne marsze, potrzebował około 3 kg siana i zboża dziennie, nie mogliśmy więc dopuścić, żeby osłabły, bo od ich sprawności zależało żołnierskie życie.

Czasem udawało się zdobyć coś ekstra. Na przykład, na początku powstania Niemcy pędzili przez Puszcę Kampinoską, zarekwirowane od miejscowej ludności, stada bydła, które bez większego wysiłku przejęliśmy od nich. Była to spora zdobycz w postaci żywca. Czasem odbijaliśmy niemieckie tabory, w których znajdowaliśmy zboże, cukier, papierosy, czasem alkohol. Niemcy jednak szybko zorientowali się, że puszcę trzeba omijać z daleka. Musieliśmy więc w inny sposób starać się o żywność.

Dostaliśmy kiedyś informację, że na południe od puszczy w Ożarowie, Lesznie i sochaczewskim miejscowa ludność musiała przygotować na wyznaczony dzień kontyngent zboża i mięsa dla Niemców. Skorzystaliśmy z tej okazji i zabraliśmy zaopatrzenie okupantom sprzed nosa.

Rekwirowaliśmy też zapasy kontyngentowe w spółdzielniach. Tam braliśmy wszystko. Zostawały puste półki i kwit. Takie kwity wystawialiśmy za każdym razem, że dobro ze spółdzielni w takiej to a takiej ilości, odpowiedniej wartości – pobrała Grupa Kampinos AK. Papierek taki był nieodzowny, chronił bowiem pracowników spółdzielni przed aresztowaniem.

Przez cały czas walk w Puszczy Kampinoskiej ludność z okolicznych wsi dobrowolnie zbierała żywność i przesyłała ją naszym oddziałom.

Niejednokrotnie zdarzało się, że gdy puszczańskie oddziały wracały zmęczone po walce do Wierszy na swoje kwatery, miejscowe gospodynie wychodziły na drogę z dzbankami mleka i częstowały spragnionych żołnierzy.

Nie najlepsze zaopatrzenie w leki poprawiło się dzięki zrzutom lotniczym. W pojemnikach, oprócz broni i amunicji, znajdowały się leki i materiały opatrunkowe, tak bardzo potrzebne szpitalom powstańczym.

Gdy Grupa Kampinos AK zmuszona była opuścić puszcę, stoczyła ciężki bój pod Jaktorowem. Wielu rannych żołnierzy znalazło opiekę lekarską w przygotowanym obwodowym szpitalu polowym w majątku Łuszczew Obwodu „Bażant”.

Z relacji ówczesnej studentki medycyny Jadwigi Lipskiej „Wigi”, żywność dla szpitala pochodziła głównie z majątku Anieli Kapuścińskiej „Niezabudki”, ale także z okolicznych gospodarstw, które wspomagały punkt medyczny w Łuszczewie, a później w Gawartowej Woli.

Z rozbitych taborów Grupy Kampinos personel szpitala zabrał leki i materiały opatrunkowe ze zrzutów, które uzupełniły szczupłe zapasy szpitala polowego.

Ciężkie dni Powstania Warszawskiego przeżyliśmy dzięki jedności i solidarności Polaków.

W CIEMNOŚCIACH NOCY NA ZRZUTOWISKACH

Przed wybuchem Powstania Warszawskiego po przeszkoleniu w zakresie łączności z lotnikiem, weszłam w skład sekcji łączności z lotnikiem kompanii porucznika Tadeusza Karneya „Drewno” w Grupie Kampinos Armii Krajowej. Skład osobowy sekcji: sekcyjna Anna Jankowska-Gawińska „Ania”, łączniczki: Zofia Borkowska-Gombin „Lilia”, Irena Szczygłowska-Wojtkiewicz „Mała”, Danuta Pecyńska „Danka” i Hanna Zubowicz „Hanka”.

W pierwszych dniach Powstania, oczekując na wiadomości od radiotelegrafistów o mających się odbyć zrzutach broni, amunicji i leków, dla zmylenia Niemców, co do lokalizacji miejsc stacjonowania naszych oddziałów, wykonujących różne akcje bojowe, często zmienialiśmy miejsca swego postoju w Puszczy Kampinoskiej.

Trwało to cztery dni, bo dopiero 4 sierpnia dowódca radiotelegrafistów kpt. Aleksander Jedliński „Franek”, uzyskał połączenie z Londynem i nadał meldunki o naszej gotowości przyjęcia obiecanych zrzutów.

Wreszcie na kilka dni zostaliśmy zakwaterowani w Wierszach. Działała tam już radiostacja, do której codziennie po wieczornym apelu udawali się nasi dowódcy, by usłyszeć umówioną melodię, która była sygnałem, że zrzut nastąpi. Wreszcie 9 sierpnia usłyszano oczekiwaną melodię. Zaczęły się przygotowania do nocnej wyprawy. Dowódca kompanii zrzutowej, por. „Drewno”, wydał rozkazy i ustalił aktualne hasło i odzew. Każdej z łączniczek sekcji przydzielono, jako ubezpieczenie, strzelca. Ze mną był Narcyz Kazimierz Zwierchowski „Tulipan”, z „Anią” Wiesław Koszada „Blondyn”, z „Małą” – Stefan Majewski „Mściciel”, a z „Danką” – nie pamiętam już kto. „Anka” zaś nie brała udziału w tej pierwszej akcji, bo została wcześniej odkomenderowana do innych zadań.



Dzielenie czaszy spadochronowej, fot. L. Gąszewski

Zrzutowiska znajdowały się w kilku miejscach, zawsze jednak sygnał nadany z Londynu określał miejsce, w którym odbędzie się zrzut. Zazwyczaj zrzutów dokonywano na polach między Truskawiem a Sierakowem, czasem koło Truskawki lub między Krogulcem a Wierszami. Pola zrzutowe miały swoje kryptonimy: „Tasak”, „Chochla”, „Linia” i inne.

Wymarsz kompanii zrzutowej odbywał się zawsze po wieczornym apelu, ponieważ samoloty ze zrzutami z Londynu przylatywały zawsze nocą. Padała komenda i ruszaliśmy pod dowództwem porucznika T. Karneya „Drewno” i ppor. Sautera „Tadeusza”. Przodem jechali zwiadowcy konni plut. Stanisława Barana „Wacława”, ubezpieczając kompanię. Szedł z nami pluton Ryszarda Stelmaszczyka-Świerczyńskiego „Zręba” i sekcja „Ani”. Jechały również furmanki, na które później ładowano zrzuconą broń i amunicję.

Po kilkugodzinnym marszu przez puszcę docieraliśmy około północy na miejsce. Porucznik „Drewno” wydawał rozkazy. Zwiad ubezpieczał nas na obrzeżach pola. Czekaliśmy na podanie kierunku wiatru, potem ustawialiśmy się w strzałkę, wskazującą nadlatującemu



Warta honorowa na cmentarzu w Budach Zosinyh. Z lewej Narcyz Kazimierz Zwierzchowski „Tulipan”, który ubezpieczał Zofię Borkowską-Gombin „Lilię” w czasie odbioru zrzutów.

pilotowi kierunek wiatru, aby zasobniki opadające na ziemię nie trafiły na stanowiska niemieckie, okalające puszcę. Wraz z nami w strzałkę ustawiali się także zwiadowcy i tak staliśmy w ciemnościach w odstępach, co kilka kroków, z latarkami w rękę, gotowi w każdej chwili włączyć zielone światło. Wsłuchiwalismy się w warkot nadlatującego samolotu, bo zdarzało się, przecież, że była to maszyna niemiecka. Jednakże szybko nauczyliśmy się odróżniać warkoty samolotów.

Samolot z naszym pierwszym zrzutem nadleciał koło godziny 2.00 w nocy. Padła komenda, podnosiłyśmy wysoko zapalone latar-

ki, żeby pilot mógł je łatwo zobaczyć. Samolot okrążył zrutowisko, zamigotał światłami, a po chwili na ziemię opadły tak oczekiwane zasobniki. Po dokonaniu zrzutu samolot znów zamigotał światłami na pożegnanie i odlatywał (...).

Gdy po odebraniu pierwszego zrzutu wracaliśmy o świcie na Wiersze, wszyscy witali nas entuzjastycznie. Rozeszła się nawet plotka, że i my, kobiety, też zleciałyśmy na spadochronach.

W pierwszym zrzucie otrzymaliśmy: 6 erkaemów z magazynkami, 3 erkaemy z 25 taśmami, 24 włoskie pistolety maszynowe z 63 magazynkami, 6 miotaczy min ze 113 minami, 47 pistoletów, 554 granaty, 40 tys. sztuk amunicji mauzerowskiej, 64 tys. pocisków 8mm, 5 tys. nabojów pistoletowych, 260 kawałków plastyku, 24 rakiety, 291 opatrunków, 62 bluzy i tyleż spodni, 147 swetrów, 55 koców.

I choć późniejsze zrzuty były jeszcze bogatsze, żaden nie wywołał tyle radości, co ten pierwszy.

Piętnastego sierpnia około 400 partyzantów pod dowództwem płka Ludwika Konarskiego „Wiktora” wyruszyło z pierwszą pomocą dla Warszawy, z bronią pochodzącą ze zrzutów. Idąc w stronę Powązek, by stamtąd przedostać się na Stawki i Stare Miasto, natknęliśmy się na kompanię niemieckich samochodów pancernych. W tej sytuacji „Wiktor” uznał, że trzeba się wycofać na Żoliborz i szukać innej drogi przejścia na Stare Miasto. W rezultacie tylko część oddziału dotarła na Żoliborz, reszta wróciła do Puszczy Kampinoskiej.

Ogółem przyjęliśmy 10 zrzutów dokonanych tylko w sierpniu. Dowództwo Grupy Kampinos AK przekazywało część tych zrzutów kompanii por. Franciszka Wiszniowskiego „Jurka”, jego żołnierze transportowali broń i amunicję na Bielany i przekazywali oddziałom w Warszawie.*

* Artykuł przepisany za zgodą Autorki z Zeszytów Historycznych „Na przedpolu Warszawy”, nr 9, luty 1990 r.

MINA

Pluton „Orlika” po przyjeździe do Kampinosu został wcielony do kompanii „Nowiny”, kwaterującej we wsi Truskawka. Zadaniem tej kompanii było obsadzanie placówek przy drogach wejściowych do Rzeczypospolitej Kampinoskiej, jak nazywano tereny puszczy wolne od oddziałów niemieckich. Wszystkie oddziały Armii Krajowej stacjonujące na tym terenie nazywano Grupą Kampinos. W pierwotnym założeniu na tych terenach miały nastąpić zrzuty broni (a istniała uzasadniona nadzieja, że także Brygady Spadochronowej). Zrzutów broni dokonano, choć było ich wielokrotnie mniej, niż obiecywano, a Brygada Spadochronowa nigdy nie przyleciała.

Bez oczekiwanego wsparcia, w ataku na Dworzec Gdański, który przeprowadziła Grupa Kampinos, zginęło 400 żołnierzy. Dworca jednak nie zdobyto.

Cała historia Grupy Kampinos została opisana w książce Józefa Krzyczkowskiego „Szymona” „Konspiracja i Powstanie w Kampinosie”, wyd. LSW.

Pierwsza drużyna plutonu „Orlika” maszerowała gęsiego do placówki pod wsią Truskaw, aby dokonać obsady.

Szedłem w grupie czołowej i nagle zobaczyłem okrągłe, zakurzone pudełko. Kopnąłem je – potoczyło się na odległość około 2 metrów, ciekawe, co to? Podniosłem je i wtedy zauważyłem, że jest całe oblepione zielonym plastrem. Schowałem je do kieszeni. Za chwilę byliśmy na stanowisku, na którym podstawowym elementem obrony był lekki karabin maszynowy.

Pięciu z nas zajęło stanowiska w wykopie głębokości około 1,5 metra, który był maskowany krzakami. Reszta ulokowała się na skraju lasu. Wyjąłem pudełko z kieszeni i ostrożnie zacząłem odklejać plaster. Zauważył to dowódca i polecił mi oddalić się w las. Rozkaz wykonałem, ale zaciekawieni koledzy obserwowali mnie zza drzew.

MINISTERSTWO OBRONY
NARODOWEJ

MINISTERSTWO OBRONY
NARODOWEJ

Nr Leg. 36466

LEGITYMACJA



LEGITYMACJA

upoważniająca do noszenia

KRZYŻA WALECZNYCH

Kpr. BOBROWSKI Tedeusz

Ps: "Witeż"

(Oddział A.K.(...)) jest uprawniony

do noszenia KRZYŻA WALECZNYCH

(zXXXXXXXXXX) (zXXXXXXXXXX) (zXXXXXXXXXX)

Londyn, dnia 30 grudnia 1949.

Po odlepieniu plastra, jeszcze raz przyjrzałem się metalowemu pudełku. Ostrożnie je otworzyłem. W środku był pierścień z materiału wybuchowego oraz spłonka i iglica przymocowane sprężynami do przeciwnych pokrywek. Odkręciłem iglicę, zamknąłem pudełko – mina była rozbrojona. Na widok nadchodzącego „Orlika” moi koledzy wyszli zza drzew i powiedzieli mi, że „Witeż” rozbroił minę. Dowódca wezwał mnie do siebie i nakazał zostawić minę w lesie. Rozkaz przyjąłem, poszedłem do lasu, ale postanowiłem minę zachować na pamiątkę, po prostu włożyłem ją do plecaka.

We wrześniu pluton „Orlika” został wcielony do kompanii „Lawy” kwaterującej we wsi Wiersze. W jedną z niedziel, po mszy polowej, ku mojemu zdumieniu, odczytany został rozkaz nadający mi Krzyż Walecznych. Nie miałem pojęcia, za co. Podejrzewałem nawet, że „Orlik” chciał tym sposobem odwdziżyć się za otrzymaną ode mnie lornetkę.

Powstanie Warszawskie upadało, Niemcy rozpoczęli ostrzał artyleryjski i bombardowanie lotnicze Grupy Kampinos. Latała „rama”, robiąc zdjęcia naszych pozycji dla rozpoznania lotniczego, a potem pojawiały się „sztukasy” celnie zrzucające bomby na nasze stanowiska.

Dostaliśmy rozkaz pozbycia się z plecaków rzeczy zbędnych. Przy porządkowaniu swojego, odłożyłem minę na bok. Zauważył to kolega stojący obok. Chwycił pistolet krzycząc, że „Witeź” wciąż nosi minę. Trójka wściekłych kolegów rzuciła się za mną. Gdy byli już bardzo blisko, położyłem minę na karpinie i trzymając nad nią pięść zagroziłem, że w nią uderzę. Koledzy uciekli za węgiel stodoły. W tym czasie nadszedł „Orlik” wściekły, że nie wykonałem jego rozkazu. Zaprowadził mnie do sławojki i przy nim musiałem wrzucić minę do dołu z szambem. Gdyby nie atak Niemców na Kampinos, czekałby mnie sąd wojenny za niewykonanie rozkazu dowódcy. A wszystko przez ciekawość i chęć zachowania pamiątki z Powstania.

Plecak z iglicą, w dniu 4 października 1944 roku, wpadł w ręce obławy niemieckiej przed bitwą w Lasach Brudzewickich za Pilicą.

Była to ostatnia bitwa Powstania Warszawskiego, ale bynajmniej nie zakończona kapitulacją oddziałów.

Według później zdobytych informacji, minę podłożył agent niemiecki, który przeniknął pomiędzy naszymi placówkami na teren Grupy Kampinos.

SZPERACZE

Dowódca naszego plutonu, prowadząc oddział, miał dobry zwyczaj – szedł marszem ubezpieczonym, wysyłając przodem szperaczy. Szli oni w odpowiedniej odległości od maszerującego oddziału utrzymując łączność wzrokową z oddziałem i między sobą. Odległość ta zmieniała się zależnie od tego, czy szliśmy w terenie zalesionym (i jak gęsty to był las), czy w terenie otwartym.

Zadaniem szperaczy było rozpoznanie terenu, w którym się znajdowali i ostrzeżenie maszerującego oddziału, gdyby zobaczyli nieprzyjaciela. Zależnie od rodzaju uzbrojenia wroga, ustalone były odpowiednie sygnały; inaczej, gdy była to piechota, a inaczej – gdy oddziały zmotoryzowane czy czołgi. Na przykład uniesienie helmu nad głową oznaczało zbliżanie się piechoty.

Przebywaliśmy wówczas – 9 czy 10 sierpnia – w Lasach Chojnowskich w okolicach Żabieńca, „Gerwazy” i ja dostaliśmy rozkaz rozpoznania, gdyż powiadomiono naszego dowódcę, że w okolicy mogą znajdować się Niemcy. Teren był rzadko zabudowany, mało zalesiony i piaszczysty. Przebiegały tamtędy szyny kolejki wąskotorowej, tzw. ciuchci. Znajdowaliśmy się akurat w miejscu, gdzie tory tworzyły zakole. Trzeba trafu, że właśnie nadjechała kolejka, a w niej Niemcy, którzy nas ostrzelali; raz z jednej, a następnie z drugiej strony zakola. Spostrzegliśmy, że na przednim pomoście wagonika kolejki, zainstalowano coś w rodzaju stanowiska ogniowego, mocując na stojaku ręczny karabin maszynowy, chyba typu MG-34. Za nim była budka obita blachą, osłaniająca strzelającego. Padliśmy na piasek, chowając się, na ile to było możliwe, za rzadko rosnące młode sosenki (miały może półtora metra wysokości). Tym razem, na szczęście, wszystko dobrze się skończyło, bo Niemcy nie

zatrzymali się i pojechali dalej. Tylko my dwaj zostaliśmy obsypani piaskiem od padających wokół nas pocisków.

Czasem jednak dochodziło do spotkania maszerującego oddziału z nieprzyjacielem. Oczywiście wtedy jako pierwsi ginęli lub dostawali się do niewoli szperacze. Oddział miał natomiast szansę uratować się. Wiele zależało od liczebności i siły ogniowej spotykających się oddziałów.

Na szperaczy przeważnie wysyłano nas obu, co nie raz nas złościło, że zawsze tylko my i my. Ale rozkaz to rozkaz, trzeba go było wykonać. Dopiero kilkanaście lat po upadku Powstania dowiedziałem się od mojego kolegi i przyjaciela, plutonowego podchorążego Bogusza Donaja „Macieja”, że dlatego tak się działo, gdyż dobrze wykonywaliśmy zadanie szperaczy.

Tamte dni na zawsze pozostaną w naszej pamięci. Do dziś przechowujemy szkaplerze z obrazkiem Pana Jezusa, które drugiego czy trzeciego sierpnia otrzymaliśmy z błogosławieństwem Bożym, na dalszą niepewną drogę, od sióstr Zakonu Najświętszej Marii Panny, gdy opuszczaliśmy Walendów.

Gdy 8 października 1944 roku, żołnierze plutonu „Orlika” opuszczali Góry Świętokrzyskie, wracając do Pruszkowa, ksiądz kapelan 72 pułku piechoty wręczył nam szkaplerzyki, ze znakiem krzyża, błogosławiąc na powrotną drogę. Wielu z nas zawsze nosi ze sobą te cenne pamiątki. W pamięci zaś przechowujemy zdarzenia tamtych dni.

WSPOMNIENIE O SANITARIUSZCE

W ostatnich dniach września 1944 r., gdy walki powstańcze na terenie Warszawy kończyły się, Niemcy skierowali znaczne siły bojowe przeciw Grupie Kampinos, walczącej na terenie puszczy.

Grupie groziło całkowite rozbitcie, aby więc uniknąć zagłady walczących tam oddziałów, dowództwo zdecydowało o ich wymarszu w kierunku południowym. W czasie ich przemarszu w Góry Świętokrzyskie, ciągle dochodziło do mniejszych i większych potyczek z nieprzyjacielem, a nawet do regularnej bitwy pod Jaktorowem, której skutki dla naszych oddziałów były tragiczne.

W tym czasie miały też miejsce wydarzenia, w zasadzie drobne, incydentalne, o których historia milczy, a znają je tylko nieliczni ci, którzy byli ich uczestnikami.

O takim właśnie przypadku chcę opowiedzieć, choć po tylu latach wiele szczegółów zatarto się w mojej pamięci.

Była noc z 28 na 29 września, nasz szwadron przebił się przez zamkniętą przez Niemców drogę w okolicy Baranowa. Gdy zatrzymaliśmy się, porucznik Tomasz Lisowski „Tomasz” (później rotmistrz) rozkazał mi wrócić do miejsca przebicia i sprawdzić czy nie pozostali tam zagubieni żołnierze i by wskazać drogę szwadronowi, który jeszcze nie dotarł na miejsce postoju. Noc była wyjątkowo ciemna. Pojechało nas sześciu (pięciu ochotników). Gdy byliśmy niedaleko drogi, usłyszeliśmy rozpaczliwy, dziewczęcy głos:

– Koledzy, koledzy pomóżcie!

Okazało się, że to sanitariuszka. Gdy podjechaliśmy do niej powiedziała, że transportuje wozem sześciu ciężko rannych. W ciemności zgubiła drogę, a wóz stoczył się do rowu. Sama nie da rady go wyciągnąć. Na domiar złego, zgubił się też jeden ranny i nie może

* Bogusław Pośnik „Tom”, „Grot”, „Bogdan”, żołnierz por./mjra „Doliny” ze Zgrupowania Stołpecko-Nalibockiego.

go odnaleźć. Wóz wyciągnęliśmy bez trudu, natomiast rannego my także nie mogliśmy odszukać. Trzeba się było spieszyć i zachować ciszę, aby Niemcy nas nie wykryli.

Wyciągnięty wóz wzięliśmy między konie. Krótco potem nadjechał szwadron. Ruszyliśmy więc razem na miejsce postoju.

Niestety, mimo zachowania ciszy Niemcy jednak nas usłyszeli i otworzyli ogień z karabinów maszynowych. Mieliśmy szczęście, bo kierunek ognia był równoległy do naszej drogi. Bokiem omijała nas masa świetlistych pocisków.

Gdy dojechaliśmy do miejsca, gdzie nasz szwadron miał się spotkać, odnaleziony wóz z rannymi i dzielną sanitariuszką dołączył do innych podwód z rannymi.

Być może takich i podobnych wydarzeń było więcej, mnie jednak do dziś nie opuszcza pamięć o dzielnej sanitariuszce, która okazała się też męznym żołnierzem. Ta młoda dziewczyna została sama, w ciemnościach, niemal w centrum toczącej się potyczki. Zagrożone było życie rannych, którymi się opiekowała, ale jej także. Mimo to pozostała na posterunku, starając się za wszelką cenę ich uratować. I uratowała.

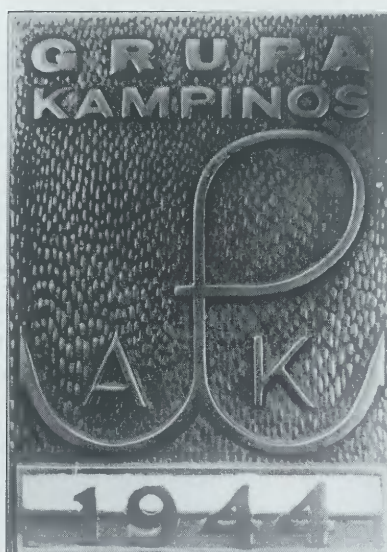
Wtedy, w środku tej ciemnej, dramatycznej nocy, nawet nie mogłem jej zobaczyć, nie spytałem też o jej pseudonim, bo nie były to okoliczności na towarzyskie pogaduszki. Tak więc w moich wspomnieniach dziewczyna żyła jako nieznana, bohaterska sanitariuszka.

Jednakże w kwietniu 1994 roku, gdy byłem w gminie Jaktorów, by załatwić sprawy związane z partyzanckim cmentarzem w Budach Zosinyh, wspomniałem w rozmowie z kilkoma osobami, będącymi na tym spotkaniu, o sanitariuszce. Okazało się, że jeden z obecnych słyszał o tym, co się przytrafiło na drodze, o wozie z rannymi od... „mojej” sanitariuszki.

Po prawie pięćdziesięciu latach dowiedziałem się też, kim była. Nazywała się Teodozja Piotrowska* i mieszkała niedaleko, w jednej ze wsi koło Jaktorowa. Niestety, wtedy już nie żyła.

Moje wspomnienie niech będzie wyrazem hołdu i szacunku dla niej i jej bohaterskiej postawy, w trudnych warunkach bojowych. Niech także dla jej rodziny będzie świadectwem chwalebnego czynu ich krewnej.

* Teodozja Piotrowska (pseudonim nieznany) była sanitariuszką batalionu sochaczewskiego.



POSŁOWIE

Celem niniejszej pracy było przypomnienie starszemu pokoleniu i poznanie przez młodszą generację Pruszkowa lat bohaterskich, ciężkich zmagania żołnierzy Polski Podziemnej z najpotężniejszą wówczas armią świata – Niemcami. Polska, która w momencie wybuchu drugiej wojny światowej istniała na mapie Europy zaledwie dwadzieścia jeden lat, po przeszło stuletniej niewoli, stała się przedmiotem agresji swych sąsiadów: Niemiec i Związku Sowieckiego.

Kraj nasz leży między dwoma mocarstwami, niczym między ramionami kleszczy, gotowych w każdej chwili zacisnąć się, niwecząc naszą wolność i niezależność. I tak się też stało w 1939 roku. Niemcy hitlerowskie i Związek Sowiecki, choć tak różniące się w swej ideologii, związały się sojuszem mającym na celu podbój ziem polskich.

Sytuacja wydawała się beznadziejna, jednakże morale Polaków, ich wola walki o wolność, były silniejsze od przemocy wrogów. Naród przyjął postawę biernego oporu, który dał początek tworzenia się struktur Polskiego Państwa Podziemnego. Mieszkańcy Pruszkowa, miasta stosunkowo niewielkiego, w dziele walki o wolność mieli także swój udział.

Dzieje opisanego przeze mnie plutonu mogą być reprezentatywne dla wielu jednostek Armii Krajowej. Wybrałam jednak „Orlików”, bowiem większość z nich była rodowitymi pruszkowiakami, względnie w inny sposób związana była z „grodem nad Utratą”. Poza tym wielu z nich znałam osobiście „od zawsze”. Zrozumiałe więc, że ich losy były mi bliskie.

Prócz tworzenia miejscowych struktur Armii Krajowej pruszkowiaczy, podobnie jak mieszkańcy całego kraju, czujący się Polakami, walczyli także na niemal wszystkich frontach drugiej wojny światowej.

Również nasi rodacy zwolnieni z łagrów rozmieszczonych na nieludzkiej ziemi, bili się u boku Armii Czerwonej wierząc, że wrócą do wolnej Ojczyzny. Polacy byli chętnie widziani w szeregach

sprzymierzonych armii hojnie szermujących hasłem „za wolność naszą i waszą”.

Jednak rzeczywistość okazała się zupełnie inna. Pomimo że wkład naszych żołnierzy – zarówno w obcych jednostkach, jak w konspiracji na terenie Generalnej Guberni – był niemały, sprzymierzeńcy nasi nie wykazali żadnej troski o niezawisłość Polski. Kraj nasz był tylko przedmiotem przetargu między naszymi aliantami i obcymi nam mocarstwami.

Nie był to pierwszy przypadek w naszej historii, kiedy rzekomi sprzymierzeńcy, deklarujący swoją pomoc sojusznicy, nie wywiązali się lub wspomagali nas w zakresie o wiele mniejszym, niż to deklarowali.

Teraz, kiedy Polska została wyzwolona spod wrogiego jarzma, przyjrzyjmy się nam samym. W charakterze Polaków tkwi cecha, która wielokroć była powodem tragedii narodowej. Sprawa wykorzenienia jej jest sprawą pierwszej wagi. Naszym nieszczęściem jest fakt, że w momentach zagrożenia, sytuacjach ekstremalnych – stać nas na bohaterstwo w imię obrony wolności. Umiemy wówczas wyrzec się sporów politycznych, światopoglądowych, sporów związanych z partykularnymi korzyściami. Lecz w czasach wolności gubi nas niezgoda, niekończące się spory na tle politycznym, rozbieżności interesów, zawiść i partykularyzm. Potrafimy ginąć za Ojczyznę, lecz najwyższy czas, abyśmy nauczyli się dla niej żyć, mieć jedynie jej dobro na względzie. Mając przed oczyma bilans naszych zasług dla Europy i świata i porównując je z rekompensatą, jaką otrzymaliśmy w zamian, nietrudno zauważyć, jak brutalnie z nas zakpiono.

Przytoczę tu słowa napisane przez Jana Kochanowskiego :

*Niech się miasto otoczy trojakimi wały,
Trojakimi przekopy i mocnymi działa,
Kiedy przyjdzie niezgoda, uniżą się mury
I wnijdzie nieprzyjaciół nie szukając dziury.*

Niechże te słowa szesnastowiecznego poety jak najrychlej zapanują w naszych umysłach, a dobro Ojczyzny niech będzie najwyższym prawem.

Indeks nazwisk i pseudonimów

A

Adamska-Ciężkiewicz Anna
„Jutrzenka” – 122

„Andriej” NN – 90

Ankowicz Jerzy „Czyżyk” – 8, 34,
97, 106

Arendarczyk Witold „Zygota” – 37,
106

Aulich Jerzy „Gryf” – 8, 34

B

Babiarz Stanisław „Wysocki” – 16,
117

Baran Stanisław „Wacław” – 126

Bareńska-Przeorska Bogumiła
„Wisła” – 8, 82

Basińscy z Zielonki – 122

Batory Józef – 113

Baumiller Jerzy „George” – 67, 78,
85, 89, 95

Bialik Józef „Administrator” – 29

Biernacki Kostek – 113

Bobrowski Tadeusz „Witeź” – 5, 6,
8, 17, 22, 27, 34, 95, 97, 98,
101, 103, 104, 129, 130, 131

Bohuszewicz Jan – 117

Borkowska-Gombin Zofia „Lilia”
– 5, 6, 51, 121, 125

Borkowski Bogdan „Burza” – 36,
42, 44

Borowski Tadeusz – 112

Brzóska – 121

Bujwid Olgierd „Ulewa” – 35, 107

Buszyński Stefan „Bez” – 8, 22,
29, 34, 47, 97, 98, 101

C

Cebertowicz Kazimierz – 121

Chechliński Leszek „Lot” – 61, 62,
89

„Chmura” NN – 34

Cholewińska Hanna „Hanka”
– 122

Chruściel Antoni „Monter” – 30

Ciesielska Nowicka Helena – 117

Czarnecki Piotr „Pionek” – 121

Czerwieńscy – 121

D

Detkens ze Strzykuł – 122

Dmochowska (Lipska) Maria
„Maja” – 55

Doboszyński Adam – 112

Dobrzański Henryk „Hubal” – 118

Dobulewicz dr płk – 45

Donaj Bogusz „Maciej” – 5, 6, 8,
17, 20, 24, 34, 36, 38, 76, 133

Dudziec Jerzy „Puchała” – 53

Dwornicki Wojciech „Wojtek” – 121

F

Fabian Tadeusz „Broda” – 17

Fabisiak Franciszek „Rąbaj” – 57

„Fetny” NN – 57

Fieldorf Emil „Nil” – 104

G

Gaworski Tadeusz „Lawa” – 45, 52,
53, 55, 57, 58, 61, 62, 63, 66,
67, 68, 70, 78, 81, 83, 84, 85,
87, 89, 91, 93, 105, 108, 118

Gąszewski Lech „Orion” – 55

Gdanicki Walenty – patrz Fieldorf
Emil

Goliszewski Stanisław „Zemsta”
– 8, 34, 40

Gorazdowski Jerzy „Wolański”
– 118

Groblewski Mieczysław „Karaś”
– 5, 6, 8, 34, 40, 41, 82

H

Heda Antoni „Szary” – 95

Huber Maksymilian Tytus, prof.
– 119

I

Iwanowski Stefan „Domek” – 85,
88, 89, 90

J

„Jacek” NN – 34

Jaczewski Kazimierz „Brzask”
– 45, 46

Janicki Eugeniusz „Czarny” – 8,
22, 23, 24, 34, 36, 38, 40

Janiszewski Zdzisław „Śmigły” – 8,
22, 23, 24

Jankowska-Gawińska Anna „Ania”
– 125

Janulis Bolesław „Jurewicz” – 53

Jarkowski Stanisław „Kazik” – 89,
97

Jaros Tadeusz „Jar” – 15

Jedliński Aleksander „Franek”
– 125

Jerzak Józef „Sum” – 8, 34, 82

„Jula” NN – 34

K

Kamińska Anna – 5, 6

Kamińska Janina – 107

Kamiński Aleksander „Hubert”
– 117

Kamiński Ryszard „Włodek” – 6, 8,
34, 36, 38, 86, 97, 106, 107,
112

Kamiński Ryszard (stryj „Włodka”)
– 107

Kapuścińska Aniela „Niezabudka”
– 124

Karney Tadeusz „Drewno” – 123,
125, 126

Kaszyński Eugeniusz „Nurt” – 24

Kazikiewicz Czesław „Sęp” – 8

Klimas Antoni „Perć” – 117, 118

Kochanowski Jan – 138

Konarski Ludwik „Wiktor” – 128

Koszada Jerzy „Harcierz” – 49, 52,
71

Koszada Wiesław „Blondyn” – 125

Kotowski Alfons „Okoń” – 58, 78,
80, 81, 82

Kowalski Adam – 50

Krajewski Henryk „Ryś” – 27

Krzyczkowski Józef „Szymon”
– 58, 122, 129

Krzywda Rzewuski Edmund
„Paweł” – 16, 17, 32, 35, 118

Krzyżak Kazimierz „Bronisław”,
„Kalwin” – 16

Kuchta Wacław „Borek” – 29

Kufel Teodor „Teoch” – 53

Kurc Konrad „Joland” – 34

Kwiatkowski Stanisław „Zabłocki”
– 33

L

„Lot” – patrz Chechliński

Laveaux de Ludwik „Bob” – 67, 85

Lenartowicz – 24

Lewicki Kazimierz „Moskal” – 63,
64, 86

Lippertowie z Ożarowa – 123

Lipiński Witold „Wilk” – 6, 8, 34, 39

Lipska Jadwiga „Wiga” – 124

Lipska Maria „Maja” – 55

Lisowski Tomasz „Tomasz” – 134

Lorenc z Pruszkowa – 123

Ł

Łoziński Zbigniew „Maks” – 90

M

Maciejczak Wacław „Wacek” – 85

Maciejczak Władysław „Lwowski”
– 90

Majewski Stefan „Mściciel” – 125

Makowski Antoni „Gerwazy” – 6, 8,
29, 34, 47, 62, 83, 87, 93, 97,
106, 132

Makowski Jan „Orzeł” – 6, 8, 34,
40, 41, 47, 97, 106, 132

Makulscy – 121

Maliszewski Czesław „Mruk” – 8,
29, 34

Małowiecki Henryk „Ran” – 53

Mańko Zygmunt „Krzemień” – 123

Matuszczyk Stefan „Porawa” – 53

Matysowie z Szeligi oraz z Bronisz
– 122

Mikulscy 121

Morawski Roman – 43

Murmyło Michał „Żubr” – 16

Murzecka Hanna „Walka” – 37

N

Nojek Stanisław „Petri” – 97, 106

Nowicka z Ciesielskich Helena
– 117

Nowicki Albin – 117

Nowicki Tadeusz „Orlik” – 17, 20,
22, 29, 34, 36, 38, 40, 42, 44,
45, 46, 47, 50, 52, 55, 62, 91,
106, 108, 112

O

Olewiński, minister budownictwa
– 119

Olszewski Marian „Maryś” – 53

P

Pacyńska Danuta „Danka” – 125

Piasecka Zofia „Wera” – 75, 89

Piasecki Zenon „Hebelek” – 40, 43

Pieńkoś Stanisław „Skala” – 117

Pilch Adolf „Góra”, „Dolina” – 48,
79, 81, 84, 85, 87, 89

Piotrowska Teodozja „Teodozja”,
sanitariuszka Batalionu
Sochaczewskiego – 135

„Pirat” NN – 34

Porczyński Zbigniew „Józek” – 8,
17, 34, 86, 97, 98, 106

Pośnik Bogusław „Tom”, „Grot”,
„Bogdan” – 6, 134

Pużak Kazimierz – 113

R

Radwański Kazimierz „Górski” – 8,
52, 86, 97, 98, 101, 106, 112

Rejmer Jędrzej „Stefania” – 8, 52,
86, 97, 98, 101

Rejmer Włodzimierz „Lolek” – 8,
52, 82

Roeslerowa Zofia „Polka” – 121

Romankiewiczówna, sanitariuszka
– 43

Rüse, mjr – 42

„Ryś” NN – 34

Rzeczycki Mateusz „Goryl” – 40

S

Sauter Eugeniusz „Tadeusz” – 126

Sewaldowie z Lipkowa – 122

Siennicka dr – lekarz z Warszawy
– 43

„Sierp” NN – 34

Sikorski Władysław – 19

Sitkiewicz Zdzisław „Wrzos” – 17

Skonieczna-Kozłowska Zofia
„Sowa” – 122, 123

Sobolewska Barbara, łączniczka
– 43

Sokołowski Mieczysław „Grzymała”
– 37, 45

Sroczyński Michał „Nowina” – 47

Stalin Józef Wissarionowicz – 113

Stańczyk Czesław „Bohun” – 83,
85, 86

Starzyk Władysław „Korwin” – 47,
53, 57

Starzyński Stefan – 13

Stelmachówna Wacława „Narew”
– 69, 88, 89, 91

Stelmaszczyk-Świerczyński
Ryszard „Zręb” – 126

Stępniewski Józef „Czarny” – 8

Strzałkowski Jerzy „Jerzy” – 53

Styczeń Kazimierz „Smuga” – 8,
17, 22, 29, 34, 36, 86, 91, 93,
97, 106, 112

Sukniewicz Mikołaj „Kola”,
„Odyniec” – 16, 118

Szczygłowska-Wojtkiewicz Irena
„Mała” – 125

Szeronos Witold „Wił” – 89

Szewczyk Ryszard „Stach” – 8,
17, 20, 34, 40, 46

Szpotowicz Jan „Kret” – 8, 82

Szulczyński Andrzej „Sęp” – 8, 20,
23, 24, 34, 82

Szymański Roman „Głos” – 8, 34,
52

Szymkiewicz Bolesław „Znicz”
– 53

Ś

Śliwowski Piotr „Orkan” – 5, 6, 8,
35, 82, 106, 107, 112

Świerczewski Janusz „Rawicz”
– 27

W

Wachulski January „Oracz” – 40

Widlicki Eugeniusz „Leszek” – 5,
8, 52, 82, 108

Wieczorkiewicz Paweł Piotr – 7

„Wiesiek” NN – 85

Wiszniewski Franciszek „Jurek”
– 53, 128

Wolfram Izabela dr „Bożymir II”
– 44

Wolfram Jaroszyński Wojciech
„Jar” – 9, 34

Wolff Kazimierz – 34

Wyszomirski Eugeniusz „Świt”
– 121

Z

Zabiełto Roman „Robaczek” – 89

Zaborski Zdzisław „Błyskawica”
– 5, 6, 35, 36

Zakrzewski Jerzy „Orsza” – 8, 17,
22, 23, 24

Zawiślak Stefan „Zacny” – 8, 34,
88, 97, 106

Zborowski Zygmunt – 117

Zubowicz Hanna „Hanka” – 125

Zwierzchowski Narcyz Kazimierz
„Tulipan” – 125

Ż

Żabierek Leon „Wulkan” – 61, 64

SPIS TREŚCI

Wstęp	5
-------------	---

Prof. dr hab. IH PAN Marian Marek Drozdowski

Recenzja pracy Zofii Łosiewicz Chmurowej pt: „Orliki”.

<i>Historia pruszkowskiego plutonu.</i>	6
--	---

Prof. zw. dr hab. Paweł Piotr Wieczorkiewicz

Opinia o pracy Zofii Łosiewicz Chmurowej „Orliki”.

<i>Historia pruszkowskiego plutonu.</i>	7
--	---

I	ŻOŁNIERZE PLUTONU „ORLIKA” VI Rejonu „Helenów” – Pruszków	8
II	A WIĘC – WOJNA!	13
III	PO PIERWSZE – ZDOBYĆ BROŃ	19
IV	WYBIŁA GODZINA „W”	31
V	RZECZPOSPOLITA KAMPINOŚKA	47
VI	KIERUNEK: GÓRY ŚWIĘTOKRZYSKIE	74
VII	OSTATNIA BITWA POWSTANIA WARSZAWSKIEGO	87
VIII	WRACAMY NIE SKŁADAJĄC BRONI	97
IX	ZAPŁATA	103
	Miejsca pamięci Grupy Kampinos	114

ANEKS

<i>Porucznik Tadeusz Nowicki „Orlik”</i>	
Życiorys dowódcy	117
<i>Zofia Borkowska-Gombin „Lilia”</i>	
By w partyzantce nie było głodno	121
<i>Zofia Borkowska-Gombin „Lilia”</i>	
W ciemnościach nocy na zrzutowiskach	125
<i>Tadeusz Bobrowski „Witeź”</i>	
Mina	129
<i>Antoni Makowski „Gerwazy”, Jan Makowski „Orzeł”</i>	
Szperacze	132
<i>Bogusław Pośnik „Tom”</i>	
Wspomnienie o sanitariuszce	134
POSŁOWIE	137
Indeks nazwisk i pseudonimów	139









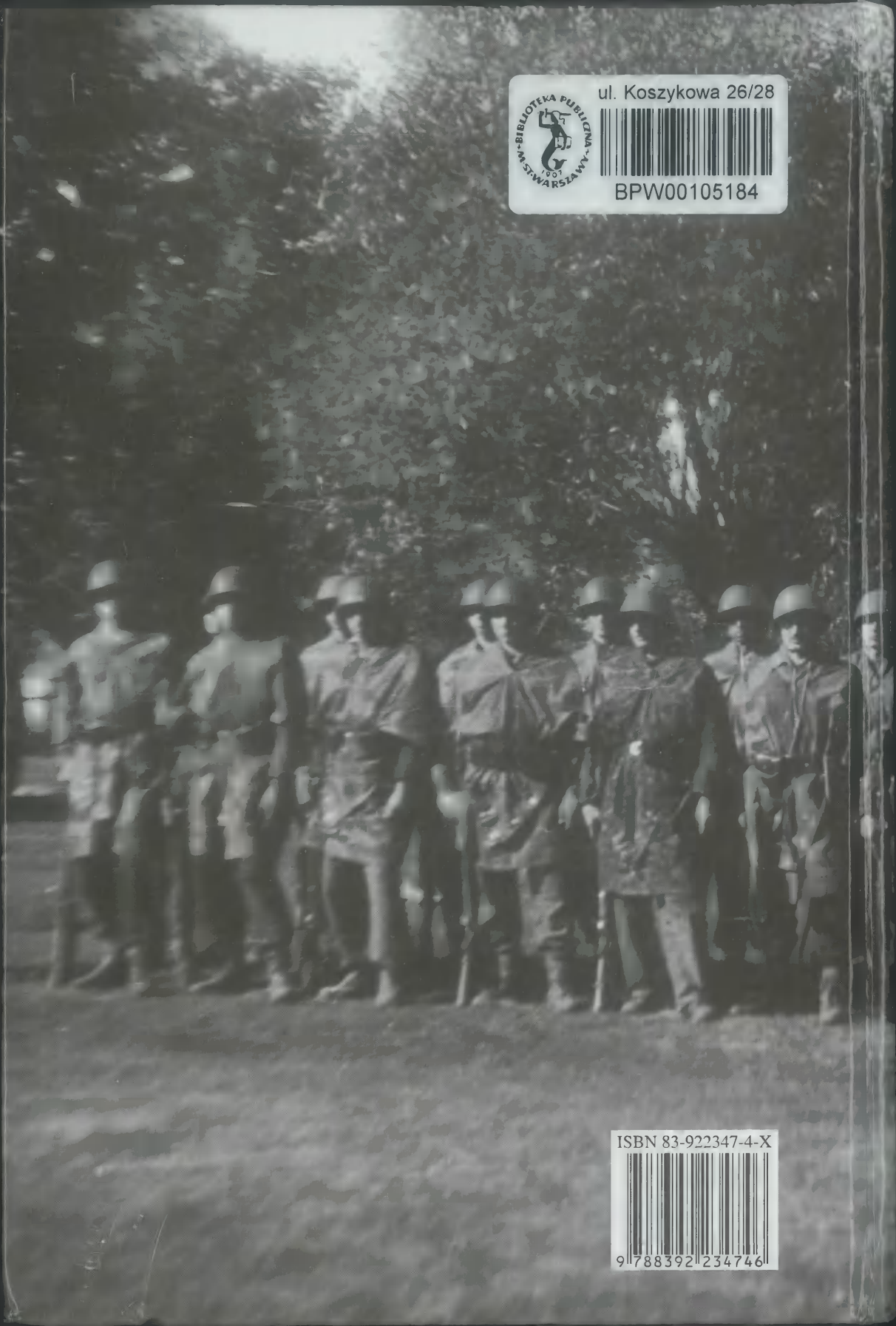




ul. Koszykowa 26/28



BPW00105184



ISBN 83-922347-4-X



9 788392 234746